Numer 27. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 1 Lipca 1928



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

I to racja.

Wojtek: A przecież ta krowa, coście ją Mosiek, mi sprzedali, na oba ślepie nie widzi...

Mosiek: Ny, a po co jej to patrzenie? Od patrzenia się nie tuczy. A wam jeszcze lepiej, bo jak dacie jej źreć słomę, to ona się nie dopatrzy i będzie myślała, że to owies...

Anegdota.

Dwóch żandarmów zobaczyło w polu człowieka ze strzelbą, który widząc ich, prędko się zaczął oddalać. Oni myśląc, że to kłusownik, puścili się za nim w pogoń. Nareszcie myśliwy prędko wskrobał się na wierzch drzewa. Żandarmi grożą, wzywają, aby zszedł, a on spokojnie wydobywa śniadanie i je. Jeden żandarm rozgniewany wdrapał się za nim i wzywa, aby mu pokazał kartę polowania. Ta była w porządku.

— Dlaczegoś pan uciekał? — pyta żandarm.

— Przecież wam nie kazałem pędzić za mną.

— Dlaczegoś pan na to wlazł?

— Przecież mi wolno tu zjeść śniadanie.

— Dlaczegoś pan prędzej nam tego nie powiedział?

— Boście mnie o to nie pytali.

I żandarmi ze wstydem odejść musieli.

Na moście stoi mały chłopak i płacze. Nadchodzi jakiś człowiek i pyta:

Czego tak beczysz, mały?

— Dziadek mój wpadł tu do wody.

Przechodzeń zrzuca z siebie szybko ubranie i skacze do wody, szukając za topielcem. — Kilkakrotnie daje nurka, ale napróżno. Wychodzi z wody i powiada do małego:

— Niestety, nie udało mi się dziadka odnaleść:

— Jak pan mógł odnaleść dziadka, kiedy on się utopił jeszcze pięć lat temu.



Przeciętna panienka wierzy święcie, że pierścionek zaręczynowy jest kołem, na którem zajedzie się do raju, gdzie niema pracy ni obowiązków.

Nazwisko czy imię.

— Jak się nazywali nasi pierwsi rodzice?

— Nie wiem.

— Przecież słyszałeś to w szkole ze sto razy.

— Ksiądz mówił tylko, że Adam i Ewa, ale nie mówił nigdy, jak się nazywali.

Do nabycia w Administracji „Roli“:

„FLIRT POLSKI“

nowe karty do gry towarzyskiej z numerami są najpiękniejszą i najwdzięczniejszą zabawą towarzyską, 40 kart z pouczeniem w futerale. **Zł. 1.**

LISTOWNIK DLA ZAKOCHANYCH

czyli podręcznik do pisania **listów miłosnych,** oświadczynowych, w sprawach małżeńskich oraz pięknych wierszyków na pocztówki. **Zł. 1.10.**

ZBIÓR POWINSZOWAŃ

na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok, oraz zbiór **Poezyj do Pamiętnika,** zastosowany dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w objętości 128 stron. **Zł. 1·—.**

ŚPIEWNIK MIŁOSNY

zawiera: Pieśni i Piosenki miłosne, Weselne, Krakowiaki, Arje oper, Śpiewy i śpiewki ludowe, o miłości i kochaniu itp. w objętości 128 str. **Zł. 1.10.**

ŚPIEWNIK NARODOWY

zawiera pieśni i piosenki polskich żołnierzy, hymny narodowe, piosenki ludowe, z wojny itp. Zebrał **Ant. St. Bassara,** w objętości 128 stron. **Zł. —.90.**

KABAŁA

Karty słynnej wróżki Lenormand z Paryża, z których każdy może wróżyć. — Komplet obejmuje 36 kart i pouczenie. **Zł. —.90.**

WIELKI ILUSTROWANY

Sennik egipski

zaczerpnięty ze starych egipsko-arabskich dokumentów.

Zawiera **2.500 wykładów snów** w alfabetycznym porządku, **90 rycin** ilustrujących sny, przewidzenia i zjawiska, **36 rycin kabały** słynnej wróżki Lenormand z Paryża. Objaśnienia o snach, przewidzeniach, wyroczniach, znaczeniach i zjawiskach. **Artonancje, czyli sztuka wróżenia z kart,** z ręki, palca i czoła.

Powyższy sennik wraz z opłatą pocztową **1.50 zł.**

6 tomów powieści za 4 zł.

w objętości 600 stron druku.

1. **Andzia.** Oryginalna powieść współczesna.
2. **Miłość śpiewaka.** Powieść z życia artystów.
3. **Baronówna.** Powieść.
4. **Kobieta z kociemi oczyma.** Powieść.
5. **Na hrabiowskim zamku.** Powieść.
6. **Narzeczona lotnika/** Powieść na tle współczesnych stosunków.

Powyższe 6 tomów powieści wysyła pocztą opłatnie za nadesłaniem zł. 4.—

Na wszystkie powyższe książki należytość prosimy nadesłać wprzód, gdyż za zaliczką drożej kosztuje.

Numer 27. XI. Rok Kraków, dnia 1 Lipca 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Wakacje.

Któż z nas dzieci nie ma! Nie ma ich chyba tylko ten, kto ich jeszcze mieć nie może, albo komu jakoś Pan Bóg nie pobłogosławił i nie obdarzył go tym przemiłem drobiazgiem. Znaczna większość ma dość często nawet zadużo tego błogosławieństwa Bożego i cieszy się niem... cieszy, ale zarazem i troszczy o jego przyszłość. Trzebaby każdemu z nich zapewnić jakąś przyszłość, aby kiedyś nie cierpiało takiej biedy, jaką my cierpimy. Ale jeszcze dla jednego nic stanowczego się nie wymyśliło, a tu skądsiś przybywa drugie i trzecie. Ani się człek nie oglądnie, skąd się tyle tego drobiazgu nabrało. Szczególniej w Polsce rodzi się to, jak grzyby po deszczu. Gdyby nam to tak pieniędzy przybywało, bylibyśmy największymi Krezusami na świecie!

Ha trudno! Choćby tam czasem i wbrew naszej woli powiększała się ta drobna gromadka, trzeba się przecież o nią zatroszczyć, boć to krew z krwi naszej, kość z kości naszej. Trzeba temu maleństwu zapewnić nietylko papu, ale trzeba mu umożliwić i rozwój duchowy. Trzeba je wychować. A domowe wychowanie nie wystarcza dzisiaj. Posyłamy więc dzieci do szkoły i zdaje nam się, żeśmy już wszystko dla tej dziatwy zrobili. Mało kto z nas zatroszczy się, jak się też tam w szkole ten jego „kaniacek“ uczy, jak się zachowuje? Dokonawszy tego bohaterstwa, czekamy na koniec roku szkolnego i na świadectwo. Chwała Bogu, jeżeli ono jest dobre, ale wrazie przeciwnym pomstujemy... zgadnijcie na kogo?... Nigdy na siebie, rzadko na dziecko, a prawie zawsze na Bogu ducha winnego nauczyciela. A tymczasem, jeżeli dzecko czyni złe postępy w szkole, to prawie zawsze wina leży w nas samych, bośmy się nigdy o to dziecię nie zatroszczyli, nie poszliśmy do szkoły zapytać się o postępy dziecka w nauce, o jego zachowanie. Czy tam ziemniaczki w polu ładnie rosną, czy się cielisia w stajni dobrze chowa, o to troszczyliśmy się nieraz, ale o dziecko?... Ktoby tam o tem myślał.

A kiedy z końcem roku szkolnego taki pędrak mały przyniesie do domu świadectwo z niedostatecznemi notami, to wyklinamy nauczyciela, walimy powrozem własnego potomka, prawie zawsze najniewinniej, zamiast bić łbem o ścianę, że tu w pierwszym rzędzie nasza wina, iżeśmy przez rok cały nie spełniali obowiązku, jakim dla każdego z rodziców jest troska o własne dziecko.

A jeźli dziecko przyniesie dobre świadectwo, to wówczas hulaj dusza! Będzie miał kto paść bydełko i kłóska po ściernisku zbierać. Ani nam na myśl nie przyjdzie, że przecież przez cały rok szkolny to dziecię pracowało uczciwie i wysilało swój umysł, aby nabyć jak najwięcej wiadomości i że i jemu przecież jakiś odpoczynek się należy. Nie znaczy to, aby dziecię to na próżniactwie przepędziło całe dwa miesiące, owszem pracę dawać mu potrzeba, ale nie przeciążać go nią. Niech ono sobie odpocznie należycie i nabierze nowych sił do dalszej pracy. Wszak na to są wakacje, które powinny być czasem prawdziwego odpoczynku dla uczącej się młodzieży. Pójdzie ona po dwóch miesiącach do nowej pracy ochotnie i zabierze się do niej rzetelnie, bo będzie wiedziała, że zostanie zrozumiana i odczuta.

Przed wakacjami odbywają się wpisy na nowy rok szkolny. Spieszyć do nich chętnie, nie wykręcać się, nie utrudniać pracy nauczycielom, gdyż oni to nie dla siebie uczą, ale dobra tej dziatwy im powierzonej, dla nas, na pożytek Ojczyźnie i Bogu na chwałę. Niechże zaś ta szkoła stanie się dla tej dziatwy drugą matką i niech jak matka ją wychowuje.

DONAT LESIOWSKI. (Przedruk wzbroniony).

Szlakiem idei.

Powieść.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Cicho zapadał szary mrok wieczorny ponad rozgwarnem życiem Kijowa, i pogrążał wszystko wokoło w melancholijną zadumę.

Wsparty o ramę otwartego okna, stał Gustaw Łastowski, i tęsknym wzrokiem gonił oddalającą się bryczkę, na której siedziała otulona w ciemny płaszcz, niemłoda już kobieta, i co chwila oglądając się na stojącego w oknie szesnastoletniego chłopca, powiewała białą chusteczką na pożegnanie.

Gustaw odpowiadał podobnymi znakami, a z oczu jego spływały dwie ciche łzy: Żegnał ukochaną swą matkę.

Za chwilę bryczka znikła na zakręcie ulicy, a Gustaw usunąwszy się w mrok pokoju, załkał cicho, jakimś nieznanym mu dotąd żalem.

Pozostawał sam, między obcymi ludźmi. Jutro miał iść do gimnazjum, gdzie został przyjętym po wielu staraniach rodziców, którzy mieszkając w Białej Cerkwi, postanowili rozłączyć się z najmłodszym synem, aby dać mu odpowiednie wykształcenie.

Gustaw zapowiadał duże zdolności — o nadzwyczaj bystrym umyśle, i rozwiniętej głęboko inteligencji, wyróżniał się od starszego rodzeństwa swoją powagą umysłową, jak również i powierzchownością.

Wysoki dobrze zbudowany, posiadał twarz matowo bladą, w której najbardziej odbijały się płomienne czarne oczy, promieniujące ogniem wewnętrznego życia.

Będąc w domu, lubił najbardziej samotność — w wolnych chwilach od nauki, błądził najczęściej po pięknym różanym ogrodzie, otaczającym dom wokoło, lub zagłębiał się w zielone gąszcze starego parku, i tam na ustronnej ławeczce przesiadywał całemi godzinami, ze skupioną jakąś myślą na dziecinnem swem czole.

W miejscach takich ustronnych, spotykała go często matka — kładła mu wówczas ręce na czoło, i pytała cicho:

— O czem myślisz synu?...

A Gustaw budził się, niby ze snu, podnosił na matkę swoje promienne oczy, i odpowadał również cicho:

— O wielu, wielu rzeczach... a najwięcej o tej naszej Polsce — o której tyleś mi mamo opowiadała, a której i ja jestem synem, jak sama mi to stale powtarzasz.

— Tak jest, kochane dziecko — jesteś Jej synem, i być nim powinieneś zawsze... i gdyby zaszła potrzeba, stanąć na posterunku jako żołnierz, i obrońca Jej wolności... Pamiętaj o tem!... bo czas ten może jest już niedalekim.

— Pamiętać będę! — odpowiadał Gustaw, z iskrami zapału w oczach, a potem nachyliwszy się, całował ze czcią białą dłoń matki.

Spójnia duchowa istniała między matką, i tym najmłodszym synem — rozumieli się wzajemnie, wyczuwając w sobie, jedne i te same bijące tętno umiłowania, polskiej wolności... która poprzez mrok wiekowej niewoli, przebłyskiwała jednak, i zapalała iskry w sercach Polaków, mieszkających, bądź to w Polsce, bądź na obczyźnie.

Nie we wszystkich jednak domach znane było imię Polski, a szczególnie w domach rozrzuconych po miastach rosyjskich, w których mieszkały polskie rodziny nieznające jednak często różnicy pomiędzy Polską uciemiężoną, a Rosją ciemiężycielką... Lekceważono sobie najczęściej uczucie patrjotyzmu polskiego, i z lekkiem sercem godzono się, na niewolnicze spokojne życie, i przyjaźń z wrogami.

W domu państwa Łastowskich, żył jednak duch Polski — gdyż ze szczególną wytrwałością rozpalała Znicz narodowy sama pani domu, wielka patrjotka, godna spadkobierczyni pradawnych swych przodków...

Ze wszystkich dzieci państwa Łastowskich, najbardziej zapalonym wyznawcą idei matki, stał się najmłodszy syn Gustaw. Na równi z nią kochał Polskę, i snuł marzenia czynu ku Jej wolności, która zaczynała świtać poprzez czerwoną krew, rozpoczętej już wojny.

Do szesnastu lat kształcił się Gustaw w domu, lecz ojciec sprzeciwił się dalszej domowej nauce, i postanowił mimo niespokojnych czasów, wysłać go do Kijowa, gdzie miał wstąpić do gimnazjum państwowego.

Pani Łastowska nie była rada postanowieniu męża — chcąc wychować syna czysto po polsku, lękała się, by obce wpływy, nie zaszczepiły trucizny w jego młodociane serce, i nie zagasiły świętego ognia miłości dla Polski. Nie było jednak rady, musiała się pogodzić z koniecznością, i pewnego dnia sama odwiozła syna do Kijowa, umieszczając go u pewnej znajomej rodziny. Było to pierwsze bolesne rozstanie, matki i syna — lecz ufna w opiekę Bożą, pożegnała go spokojnie, pewna niejako, że syn jej nie zapomni nigdy zasad wszczepionych przez nią w jego młode serce.

Po odjeździe matki, Gustaw długo siedział zamyślony w mrocznym pokoju, nie paląc umyślnie światła — aż wyjrzał wreszcie księżyc z za chmur, i srebrnem swojem światłem zalał mały pokoik, rozpędzając szary mrok... Wówczas Gustaw spojrzał przez otwarte okno, w daleki rozsrebrzony krajobraz szerokich przestrzeni widniejący kędyś poza murami miasta, i odczuł jakiś cichy spokój płynący stamtąd, i zdawało mu się, jakoby z promieniami księżyca spływało ku niemu błogosławieństwo matki, którą w tej chwili unosił już żelazny wąż pociągu, ku cichej siedzibie otoczonej różanym wieńcem ogrodu. Gustaw westchnął jeszcze raz, na wspomnienie matki, i dawnego cichego życia — lecz znużony podróżą i wyczerpany wrażeniami, położył się na stojące łóżko, a za chwilę spał już cichym snem dziecka, którego sumienie było czyste, a serce prawe, i nieskalane żadnym życiowym brudem.

II.

Rozpoczął się teraz dla Gustawa nowy okres życia. Poza szkolnemi godzinami, i po odrobieniu lekcji, miał jeszcze zazwyczaj wiele czasu na ciche samotne rozmyślanie, lub na dalekie wycieczki.

Miasto samo nie posiadało dla niego wielkiego uroku. Po zwiedzeniu kościołów, i innych miejsc, Gustaw poświęcał chwile wolne najczęściej na wycieczki poza miejskie, gdzie obierał sobie miejsca samotne, i godzinami całemi dumał znowu nad zagadnieniami życia Polaków... i o tych narodowych ideałach, które mu matka roztoczyła niegdyś przed jego młodą wyobraźnią.

Obserwował również życie naokoło siebie. Zawarte znajomości z rówieśnikami, dawały mu dużo

nowych nieznanych tematów do rozmyślań. Każdym nowopoznanym kolegą interesował się, i mimo nawet własnej świadomości, badał jego wartość moralną. Najbardziej jednak z pośród młodzieży, zainteresowała go córka państwa Miniów, Marysia, u których matka ulokowała go na mieszkanie. Dziewczyna ta licząca zaledwie piętnaście lat, rozwinięta była jednak nad wiek — tak fizycznie, jak i umysłowo — lecz pojęcia jej o życiu były spaczone przez złe wychowanie: swawolna aż do dzikości nie znała w niczem miary, ani powściągliwości w wybrykach. Nie krępowana, ani karcona przez rodziców, wyrastała żywiołowo jak młode zwierzę, pełna dzikiego temperamentu.

Gdy Gustaw został ulokowany u państwa Miniów, oboje młodzi spotykali się z sobą często — bądź to przy obiedzie i kolacji, bądź przy odrabianych lekcjach, gdzie Gustaw często pomagał, pojętnej lecz roztrzepanej dziewczynie. Często też po odbytych lekcjach nawiązywali z sobą rozmowę — gdzie Gustaw starał się zwykle poruszać tematy poważne, gdy przeciwnie Marysia, mówiła bezsensowne słówka, z których się sama śmiała, chcąc pobudzić do śmiechu towarzysza. Lecz Gustaw najczęściej, w chwilach wybuchów wesołości Marysi milczał, wpatrując się tylko w nią, swojem płomiennem lecz smutnem spojrzeniem. Marysię zazwyczaj spojrzenie takie mieszało, i psuło jej humor wesela. Więc zła za zepsutą zabawę, zaczynała drwić, uszczypliwemi słówkami mścić się na towarzyszu — nazywając go: „Mumją egipską... rybą bez krwi... kamieniem bez uśmiechu...“ Naurągawszy mu dosyć, uciekała do swego pokoju, a za chwilę Gustaw już słyszał wesoły jej uśmiech, i niepowstrzymaną paplaninę słów. Wówczas serce jego przejmował jakiś żal, do tej rozkosznej lecz płochej dziewczyny, i postanawiał sobie, że musi wpłynąć swoją wolą na jej spaczony charakter, i urobić ją podług tego ideału jaki powoli zaczynał powstawać w jego sercu, a ideał ów był promienny i wiośniany na podobieństwo Marysi, lecz niepozbawiony też cichej powagi, której dziewczynie brak było stanowczo. Toteż znosił cierpliwie wszelkie kapryśne jej przezwiska, docinki i złość, starając się zwykle mówić do niej słowami pełnemi powagi — lub poezją romantyzmu polskiego...

Najczęściej w gorących słowach deklamował całe ustępy z Mickiewicza, Słowackiego, i innych... w których roztaczał przed zasłuchaną dziewczyną, obrazy Polski... i niewolnicze pęta jakiemi była zakuta oraz ideę polskiej wolności...

Marysia otwierała wówczas szeroko oczy, i wpatrywała się w bladą natchnioną twarz Gustawa, z bezgranicznem uwielbieniem. W chwilach takich Gustaw urastał w jej wyobraźni, na bohatera, jednego z tych bajecznych opowieści jakie jej kiedyś stara niania mówiła — lub na zaklętego rycerza opiewanego w deklamowanych utworach.

Zasłuchana i zapatrzona, zapominała o pustej swej paplaninie, i miast wesołego śmiechu, wybuchała płaczem rozżalenia. A kiedy przestraszony Gustaw milkł, pytając co jej jest — ona jakby przeobrażona jego słowami, cicho odpowiadała:

— Nic mi, nic!... Mów jeszcze, mów o tej Polsce, o tej nieszczęśliwej umęczonej... Mów jak ona wygląda?... czyją ona jest matką?..i czemu ją więzami spętano?..

A Gustaw wówczas opowiadał jej wszystko, co tylko wiedział z zasłyszanych słów matki — przelewał gorące umiłowanie swojego serca, w jej budzącą się młodą duszyczkę, i rozpalał iskry entuzjazmu dla idei polskiej wolności...

— Tam na ziemiach polskich krew się leje już od kilku miesięcy — tłumaczył — Polacy biją się wśród Moskali, i wśród Niemców, idą jedni przeciw drugim — ale to nic!... bo jest ktoś taki co podniesie polski sztandar, i zerwie kajdany z orła białego... i połączy wszystkich Polaków pod ten jeden sztandar wolności... Tak mówiła mi moja matka, a jej wierzyć potrzeba.

— A czy i my, staniemy pod polskim sztandarem? — pytała ciekawie Marysia.

— O napewno! — twierdził z przekonaniem Gustaw. — I ty, i ja, staniemy pod tym sztandarem, i będziemy żołnierzami Polski...

— Ty to możesz zostać żołnierzem, bo jesteś chłopcem, i nikt ci nie zabroni — ale ja?... Przecież jestem dziewczyną, i mama ani tatuś, nie zgodziliby się nigdy, abym od nich poszła pod polski sztandar... Bo mama i tatuś powiadają, że Polski niema i nie będzie, tylko jest Rosja nasza matka — i o żadnym polskim sztandarze nigdy nic nie wspominali.

— A jednak, choć rodzice twoi tak powiadają, to ty będziesz kiedyś żołnierzem Polski — ja to wiem — i nie potrzebujesz się martwić, że jesteś dziewczyną, bo i dziewczyna może stać się żołnierzem, byleby tylko ukochała tą Polskę, i pragnęła Jej wolności.

— A więc ja już Ją kocham!... i wolności Jej pragnę! Ale i ciebie kocham Gustawie! — dodawała w uniesieniu — bo ty jesteś taki wielki i mądry!... i powiedziałeś mi wiele rzeczy, o których nigdybym się nie dowiedziała od nikogo.

Rozweselona porywała ręce Gustawa, i biegła z nim po pokoju, zatapiając swoje rozgorzałe zapałem oczy, w jego ognistem spojrzeniu. I wybuchała znowu swoim swawolnym śmiechem; lecz nie raziły już słuchu dawne dzikie akordy — śmiała się teraz wesoło i wdzięcznie, śmiechem rozbudzonej swawolnej wiosny...

Powoli i na ustach Gustawa pojawiał się ten sam uśmiech — niby odbicie promiennego uczucia jakie budziło się jednocześnie w dwóch młodych sercach...

A kędyś, w tajemnych księgach ludzkich przeznaczeń... kreśliły się już dwie zgłoski w jeden splątany monogram — pod imionami Marychny i Gustawa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prośba do św. Piotra.

Kluczniku święty! prosimy Ciebie,
Racz nasz wysłuchać błagalny ton,
I racz nas wpuścić do grona w niebie,
Gdy nam już życie ukróci zgon!

Ty, coś z Chrystusem ludy pogańskie
Do świętej wiary nawracał wciąż,
Gdy zapukamy we wrota Pańskie!
To gdy usłyszysz, otworzyć dąż!

Ty, co przykładem cnót świętej wiary
Dla światu świecisz — patrz na nasz zgon,
I gdy zapuka młody lub stary,
Otwórz i staw go przed Boży tron!...

Antoni St. Szymański.

Nawrócony

W roześniony złotemi blaskami, słoneczny poranek, rozedrgał się rytmicznie głos kościelnego dzwonu, i płynął długo melodyjnie w szerokiej rozbieżnej dali... wzywając lud boży, ku otwartym wrotom małego wiejskiego kościoła.

Wąskiemi ścieżkami rozkwieconych łąk i pól, snuły się różnobarwne stroje dziewcząt — a tu i ówdzie, mignęła sukmanka młodego chłopka, przywiązanego jeszcze do tradycji swych dziadów...

Ale najwięcej widniały ciemne ubrania i paltoty, co były postępem nowej mody, przejmowanej chętnie z miast przez wiejską młodzież, zapominającą bez żalu o swych narodowych pięknych strojach... Lecz nie tylko zewnętrzne stroje zaczęto przejmować — za strojami i obyczaje się zmieniały, a z czasem i dusza Ludu wiejskiego przeradzać się zaczęła, i zatracać swą świeżą szatę tkaną z najcudniejszych kwiatów przyrody... a przyoblekać się w pył wydeptanych ścieżek, prowadzących od cichej polskiej wsi, do miejskich bruków...

Ścieżką prowadzącą do kościoła, szedł wolno młody człowiek.

Różnobarwna młodzież mijała go ciągle — ten i ów ukłonił mu się, a dziewczęta z zaciekawieniem oglądały się, chichocząc z cicha.

Idący człowiek, przyglądał się również z ciekawością mijającej go młodzieży — uśmiechał się do ładniejszych dziewcząt, kłaniał się znajomym — ale z nikim nie starał się nawiązać rozmowy, ani też zbliżyć się do kogokolwiek z idących.

Pan Franciszek — jak go nazywano we wsi — był synem jednego z zamożniejszych gospodarzy. Od kilku już lat przebywał w dużem mieście, kształcąc się w szkołach — gdyż zamierzał zostać doktorem, lub prawnikiem. Obecnie zdał maturę, i przyjechał na wakacje do swojej rodzinnej wsi. W wiosce jednak nie odczuł żadnego zadowolenia. Oddzielił się rozmyślnie od wiejskiej młodzieży — czując się niejako wyższym od nich z powodu posiadanych nauk — i błąkał się samotny po polach i łąkach, znudzony i zły na wszystko co go otaczało.

W mieście będąc zatracił w sobie to wielkie umiłowanie piękna przyrody... i jak bankrut zrujnowany, szarpał się w swojej pustce duchowej, nie wiedząc czego mu brak. Złociste szerokie niwy, i zielone kobierce łąk, nie pociągały go już ku sobie, jak niegdyś... gdyż myśl jego uparcie goniła za przeżytemi obrazami w pośród miejskiego gwaru.

Ze sceptycznym też uśmiechem, spoglądał na idącą gromadnie młodzież ku kościołowi — gdyż w jego duszy, wraz z umiłowaniem piękna przyrody, zanikła i wiara w Boga. Zaszczepioną niegdyś religję w jego serce, przemędrkowali wraz z nim, niedorośli filozofowie szkolni — i płomienną żywą wiarę młodzieńca obrócili w pył, w którym już dogorywała ostatnia iskierka...

Nie mając nic lepszego do roboty, wyszedł sobie na ścieżkę prowadzącą ku kościołowi, by przyjrzyć się ładnym dziewczętom, do kościoła jednak pójść nie miał żadnego zamiaru — i dlatego szedł wolno po ścieżce, by go minęło jak najwięcej ludzi.

Gdy rozległ się głos dzwonu z kościoła, płynąc w przestrzeń rozedrganą nutą dźwięków — w piersi idącego młodzieńca zadrżała dziwna nuta dalekich wspomnień... Spojrzał zdziwiony dookoła, a potem pochyliwszy na piersi głowę, wsłuchał się w tą cudowną muzykę dzwonów... i jak lunatyk posuwał się wolno naprzód ku wrotom kościoła.

Gdy stanął w otwartych drzwiach, ujrzał ponad głowami zgromadzonego tłumu, ołtarz ustrojony w barwne kwiaty — a zapalone świece, migotały płomykami złocistych gwiazd...

Za chwilę rozległ się dzwonek, zwiastujący rozpoczęcie nabożeństwa, a stojący tłum runął na kolana, oddając cześć Panu, schodzącemu w tej chwili z wyżyn... na ołtarz ofiarny.

Pan Franciszek stał. Jego pesymizm — a bardziej jeszcze, przejęta wielkomiejska duma — nie pozwalały mu ugiąć kolana, by nie zakurzyć nowego garnituru, w jakim był wystrojony poraz pierwszy.

Stał — górując ponad klęczącym tłumem — i z ukosa spoglądał na wszystkie strony, czy jest dość obserwowany przez modlącą się młodzież. Ale w tej chwili nikt nie zwracał na niego uwagi — czasem tylko czyjś wzrok oburzony skierował się na śmiałka, co lekceważąc sobie najświętszą ofiarę, nie ugiął kolana przed wystawioną złocistą Hostją.

Zagrały organy — i wraz z zaintonowaną przez księdza pieśnią, płynęły melodyjne dźwięki, zlewając się w harmonję jednej wielkiej pieśni płynącej z piersi tysiąca... A gdy umilkła pieśń, i zaczęła się bezkrwawa ofiara mszy św. lud w skupieniu modlił się cichą modlitwą, zsyłąc swe błagania ku utajonemu Chrystusowi w Najśw. Hostji.

A ze stropów pogodnego nieba — przez szyby okien — snuły się na ołtarz promienie złocistych przędz, i owijały misternie rzeźbione figurki aniołków, nadając dziwne złudy życia... a potem spływały migotliwemi błyskami, na głowy modlącego się ludu, zapalając w oczach promień nadziemskiej ekstazy.

Pan Franciszek stał i patrzał — patrzał na ołtarz.

Powoli, złociste promienie światła zaczęły opływać i jego głowę — olśniewająca jasność przenikała do zaciemnionego mózgu filozoficznemi dowodzeniami — a czarna zasłona rozsuwała się przed oczyma młodego niedowiarka... ukazując mu w ekstazie widzenia, krzyż stojący kędyś na szczycie Golgoty... a na krzyżu Boga-człowieka z otwartem sercem promieniującem w złocistej Hostji bezkrwawej ofiary... w godzinę podniesienia.

Rozszerzyły się szeroko oczy młodzieńca, wpatrzone w promienny cud... a z serca osuwał się szary pył zwątpienia... i wytrysła ostatnią, gasnącą już iskra — rozpalając płomień świętej wiary. I gdy dzwonek dał znak podniesienia — kolana niedowiarka ugięły się kornie... i pozostały już tak aż do skończenia ofiary.

A gdy po skończonem nabożeństwie wracał tą samą ścieżką ku swojej wsi — oczy jego z lubością biegły po szerokich łanach, a w sercu czuł ogromne rozradowanie i miłość do wszystkiego co piękne i swoje. I nie szedł już samotny, jak pierwej, ale przyłączywszy się do idącej młodzieży, rozmawiał z niemi wesoło, bez tej już fałszywej dumy, jaką czuł w sercu nim się ukorzył u stóp Boga...

I od tej pory nie nazywano go już więcej we wsi „panem Franciszkiem", lecz Frankiem... bo tak sobie życzył — wyzbywszy się wszelkich filozoficznych mędrkowań — stał się synem i bratem całej wioski... pokochawszy z powrotem swą rodzinną wieś.

Kachna Ł. Łza.

NA STOLICY PIOTROWEJ.



Rok rocznie obchodzi Kościół katolicki w dniu 29 czerwca uroczystość dwóch największych świętych, a mianowicie św. Piotra i Pawła. Jak wiadomo, świętego Piotra ustanowił Pan Jezus swoim zastępcą na ziemi i jemu oddał całą władzę nad Kościołem katolickim. Ale przecież święty Piotr nie był wieczny; zakończył swój żywot męczeńską śmiercią, jak tylu innych Apostołów i Uczniów Pana Jezusa. Kościół św. jednak bez zwierzchnika pozostać nie mógł. Toteż każdorazowo po śmierci jednego z papieży wybierano jego następcę, a zwierzchnikiem całego Kościoła katolickiego mógł być tylko biskup rzymski. Kto więc został wybrany papieżem, zostawał temsamem biskupem rzymskim. Tak było od pierwszych wieków chrześcijaństwa i tak jest po dziś dzień.

Obecnie, jeżeli papież umrze, zjeżdżają się do Rzymu wszyscy kardynałowie z całego świata na oznaczony dzień, aby dokonać wyboru. Nie odbywają przed tem żadnych narad, nikt nie wysuwa żadnego kandydata, ale bez najmniejszego porozumienia udają się wszyscy kardynałowie, każdy do oddzielnej celi i tam modlą się gorliwie do Ducha świętego, prosząc Go o natchnienie, komuby oddać głos, aby się okazał godny tak wielkiego zaszczytu. Zdarza się, że wybór padnie odrazu na jednego z najgodniejszych dostojników Kościoła, ale bywa też często, że głosy rozstrzelą się pomiędzy kilku. Wówczas następują modlitwy i ponowne głosowanie. Gdyby i tym razem głosy były rozstrzelone, następuje trzecie i czwarte głosowanie, póki któryś z kapłanów nie otrzyma największej ilości głosów. A gdy się to stanie, wybór należy uważać za dokonany. Zapytują tedy wybranego, czy wybór przyjmuje, a gdy ten da odpowiedź potakującą, obiera sobie nowe imię, co zostaje ogłoszone całemu światu.

Właściwą władzę obejmuje nowy papież dopiero po swej koronacji. Odbywa się to nadzwyczaj uroczy-

ście. Widzimy to zresztą na naszym obrazku. Na tronie siedzi nowowybrany papież, u stóp tronu są zgromadzeni dostojnicy duchowni i świeccy. Po odprawieniu stosownych modłów wkładają na głowę Ojca świętego tjarę, równającą się znaczeniem koronom najpotężniejszych monarchów. Po uskutecznieniu koronacji nowy papież staje się nawyższym zwierzchnikiem całego świata katolickiego.

KAŚKA MYRDALONKA GADA:



Jakie to scęście wielgaśne la mnie, zem się nie umnozyła hrabianką, ani zadną inksą lafiryndą z miasta, ino wsiowską dzieuchą, ze prosę siadać. Bo ino popatrzyć na taką miesckę kapelusową, a na mnie, to się zaraz zuźry calusieńką różnicę pomiędzy nią, a mną.

Zacnijmy od głowy, bo to pono la niktórych ludzi najważniejsa część ciała, choć mnie się widzi, ze to nieprawda, bo u niejednego brzuch ważniejsy, a u inksego jesce co inksego. Ale zacnijmy od głowy, a zaraz wszyćko spenetrujemy, ze między miastową kapeluśnicą, a wsiowską dzieuchą jest ogromna różnica. Miescka bez to, ze jest belada i mikrna, sypie na gębę piasek, wali farbę, coby jej przybyło i latego wygląda, jak wymocek, lezący śtyry lata we wodzie. A dzieucha wsiowa ma gębę nicem burak ćwikłowy, a choćbyś na niej bez tydzień groch młócił, to się jej nic nie stanie.

Jak kapeluśnicę jaki śmiglanc pocałuje, to na jej gębie to znać zaraz, a dzieuchę wsiową, choćby cały reiment wojska bez miesiąc całował, to ani śladu na niej nie zostanie. Odsapnie se ino i powie: To juz koniec?

U taki hrabianki na głowie kupa pełechów podstrzyzonych, jak u źrebice, na tych pełechach skopiec do dojenia krów. I zeby to choć zawse te pełechy były prawdziwe? Bogać tam! Po największej sęści przyprawiane, bo prawdziwe pod kapelusem wygniły. A jak wiater silniejsy ino zawieje, to porwie i kapelus i włosy i zostanie na głowie samo gołe kolano.

A u dzieuchy wsiowskiej włosy mocne, jak ostręga, a choćby je chłop i bez rok obdzirol ze łba, to nie poradzi, bo nim jedne wyskubie, to juz drugie na tem miejscu wyrosną.

U taki hrabianki z miasta to w gębie, jak u zygarmistrza, jaze się świci od złota. Ja drzewiej myślałam, ze kapeluśnice juz ze złotemi zębami się mnozą, ale pedzieli mi stryjencyna ciotka, ze kapeluśnice na cukierkach zęby se zdarły i teraz mają gębę śtukowaną. Dzieucha wsiowa na chlebie i baszcu gęby se nie podziurawi i kiejby było potrza, to mogłaby zębami kamyki chrupać.

A tu z przodu, przed sobą, to u dziwki ze wsi rodowite ciało, zeby z tego pół cetnara salcesonów narobił, a u hrabianek miastowych nima nic, a jezeli jest, to nie mięso, ino wata, albo zagłówek cały. Jakby kto nie wierzył, to jak będzie w Krakowie, niech opatrzy, a przekona się. Zreśtą spytajcie się gazeciarzy, bo oni są próbanci, to wszyćko wiedzą.

W pasie kuzda kapeluśnica, kieby osa cieniuśka, dziw, ze jej kiedy wiater nie przełamie, a juz chłopak to ni ma co wziąć w pazury, takie to nicpotem. A wsiowska dzieucha to i tu w samem środku taka obsyrnia, ze i la dziesięciu wystarcy, a gdyby ją piłą przerzynać przysło, to niejedenby się dobrze zmachał, zanimby ją na wylot przetyrmosił.

Albo weźmy takie gnaty u miescki! Wszak wszyćkiem wiadomo, którzy się temi sprawami zajmują, ze taka kapelusowa hrabianka, choć wygląda z wirzchu, jak kubita, to pod spodem w ubraniu nicem się od chłopa nie różni, a bez to brak tam przewiewu i suchego powietrza, wskutek cego i nogi takiej pannicy podobne do badyla, wyrosłego w piwnicy. Zato u wsiowej dzieuchy, prosę siadać, łapa, jak u kudłatego niedźwiedzia!

Poźryjcie wreście na ręce kapelusowej hrabianki! Toby to przecie na dobry interes pchły udusić nie mogło, a nie dopiero wziąć się do porządnej roboty, a gdy przyńdzie do ślubu, to jegomość nie mają co statułą zawiązać. Za to u wsiowskiej dziopy, to nieraz byłoby i postronka zamało!

A kiecki? Co to za kiecki u takiej pannice? U góry nic, u dołu nic, a ino środkiem ile tyle, aby tego, co najważniejse widać nie było. Jak matka kupi łokieć płótna, to całą babską familyję tem okryje. A u wiejskiej dzieuchy to nieraz pół wsi schowałoby się pod spodnicę i jesceby dość miejsca zostało.

Latego wszyćkiego zawse i wszędzie dziękuję Panu Jezusowi i Matce Przenajświętszej, ze mnie nie stworzył panną kapelusową, ale Kaśką Myrdalonką, bo cy to idę, to się ściany trzęsą, cy to siędę, to ława skrzecy i ugina się, a jak jakiego źgaca napastliwego od lewa zamaluję, to się mu zesłorocne Boże Narodzenie przypomni. Sanują mnie ludzie i kochają, a wiem, ze i niejeden z was radby mnie mieć, gdybym ja ino chciała. Ale bogać tam, ze mną to nie tak łatwo!

Coś mi w duszy śpiewa...



Coś mi w duszy śpiewa —
Odwagi dodaje,
Pieśń swą szemrzą drzewa,
Że aż serce taje...

Piękne słonko świeci,
Wiaterek powiewa
Pieśń w przestworza leci,
Stwórcy hołdy śpiewa...

Cudnie szumią sosny —
W królewskiej powadze,
Słucham je co wiosny
I gwary prowadzę...

Słucham je co wiosny,
Gdy się w szpilki stroją,
Kiedy w hymn radosny
Ptaszęta się zbroją...

Słucham je i marzę:
O dobroci Boga,
Łaskę Jego ważę,
Która jest tak droga...

Maryla »Widz«.

Zburzenie Jerozolimy.

Opowieść biblijna, według opowiadania Józefa Chociszewskiego p. t. „Genowefa".

ROZDZIAŁ I.

Działo się to około 70 roku po narodzeniu Chrystusa, kiedy w Rzymie panował cesarz Wespazjan, którego syn Tytus dowodził wojskami rzymskiemi, walczącemi przeciw Izraelitom.

Jerozolima, pełna swarów i kłótni, a przytem oplamiona krwią niewinnie przelaną Jezusa, była opuszczona od Boga. Na ziemi nie było nikogo, ktoby dopomógł opuszczonemu narodowi, który stracił łaskę u Pana. Wielka ilość żydów, oszukana proroctwami fałszywych proroków, którzy przepowiadali napewne bliskie, a niezawodne przyjście Mesjasza, uciekając przed Rzymianami, zbiegła się do Jerozolimy. Tylko nieliczne szczątki ludu ukrywały się w górach Judei, ale i tych pociągała silna miłość świętego miasta, tak, iż nie mogąc się przedrzeć przez obóz rzymski, schadzali się przynajmniej na wierzchołkach gór poblizkich, skąd mogli widzieć wspaniałą świątynię na górze Morga. Któż wypowie boleść i smutek tego ludu, przeczuwającego ostatni los jedynej świątyni Pańskiej w Izraelu? Nikt nie chciał temu wierzyć, nikt nie chciał tego twierdzić, aby Jerozolima miała być zburzoną, każde jednak serce drżało na wspomnienie nieszczęść, które miały nastąpić.

I tu oto na wyżynach gór Judei brzmiały żałobne śpiewy psalmów, które niegdyś brzmiały nad brzegami rzek babilońskich. Cóż bowiem zostaje człowiekowi w nieszczęściu, jeżeli nie modlitwa, jeżeli nie głos wołający ku niebiosom i błagający miłosierdzia?

ROZDZIAŁ II.

Było to przy końcu miesiąca sierpnia 70-go roku po narodzeniu Chrystusa, gdy pod wieczór na jednej z takich wyżyn zgromadziła się pewna ilość stroskanych synów Izraela. Ostatnie promienie zachodzącego słońca, oświetlały błyszczące mury świątyni jerozolimskiej ale nad tą świątynią unosił się obłok ciemny, jakoby, miał i chciał być zasłoną gasnącej chwały synów Izraela. Z łzawemi oczyma spoglądali na ten widok nieszczęśni żydzi, a serca ich zawtórowały smutną pieśń:

„Panie, dlaczegoż odwracasz od nas Twe oblicze?
i kryjesz je przed Izraelem?
Myśmy zgrzeszyli przeciw Tobie Panie?
a stopy nasze opuściły ścieżki Twe,
A Ty prętem gniewu Twego karzesz Izraela,
klątwa pada na nas i na syny nasze".

„Na nas i na syny nasze!" — zakrzyknął ktoś groźnym głosem, przerwawszy pieśń żałobną. „Na nas i na syny nasze krew Jego!" — odezwał się głos po raz wtóry, a wszyscy przerażeni zwrócili swe oczy w tę stronę, skąd głos pochodził. Lecz jakiż im się przedstawił widok? Starzec z opuszczoną głową stał opierając się na kiju, wlepił wytrzeszczone oczy w ziemię, jakoby ją chciał przewiercić do ostatnich głębin. I rzucił laskę, a targając oboma rękami siwe, najeżone włosy powtórzył groźnie:

„Cóż tak dziwnym na mnie spoglądacie wzrokiem, przecież pamiętacie, żeśmy tak wołali i krzyczeli na dworze Piłata, starając się, aby był ukrzyżowanym Jezus Nazareński. I jam krzyczał z innymi, ja osądzonemu Jezusowi cierpiącemu bez winy, nie dozwoliłem się oprzeć o ścianę, aby mógł odetchnąć. Jam krzyczał: „Ukrzyżuj! ukrzyżuj!" Jam wołał: „Krew jego na nas i na syny nasze!"Oto teraz brzmią te słowa w mych uszach. Straszliwy ten głos słyszę wszędzie, gdziekolwiek się ocknę. Ach! dlaczegośmy ściągnęli tę klątwę na nas i na syny synów naszych? Biada nam, biada nam!"

Tak biadając, rzucił się nagle nieszczęśliwiec z góry na dół, jakby go kto biczem poganiał. Pełni bojaźni, patrzyli nań zgromadzeni.

„Co się to dzieje? Pomóżcie biednemu! Któż to? Pomóżcie mu! Pospieszcie za nim!" — tak zawołało kilka głosów, przejętych na wskróś słowami nieszczęśliwego obłąkańca.

I byliby się rzucili za uciekającym, gdyby ich nie powstrzymał starzec poważny, który tak się odezwał:

„Zostańcie tu, a jemu dajcie pokój! Już jest temu 37 lat, jak ten nieszczęśliwiec pokutuje. Jest to Ahasverus, mieszkający niegdyś w Jerozolimie. Słyszeliście, jaką sobie przypisuje winę. Gdy nasi starsi chcieli wydać na śmierć Jezusa Nazareńskiego, którego wielu z ludu uważało i uważa dotąd za Mesjasza, wtedy pomagał Ahasverus krzyczeć na dworze Piłata: „Ukrzyżuj! ukrzyżuj!" aż Piłat zezwolił na śmierć. Na Golgotę wleczono osądzonego a starcy i kapłani postępowali z ludem. Gdy przyszli przed dom Ahasverusa, wtedy Jezus krwią zbroczony, upadając pod brzemieniem krzyża, chciał sobie trochę odpocząć, pragnąc się nieco o mur oprzeć. Ahasverus przyskoczywszy uderzył go tak silnie, iż upadł pod ciężkim razem. Jam tego wprawdzie sam nie widział, ale tak opowiadali o tem ci, co to widzieli. Jezus umarł na krzyżu. Okropna to była śmierć. Pamiętam to dobrze, bo byłem wówczas w Jerozolimie. Słońce zaćmiło się po południu, zasłona w świątyni rozdarła się na dwoje, ziemia się trzęsła, groby się otwierały. Ukrzyżowany zawołał głosem takim, że kto głos ten słyszał, nie zapomni go na całe życie. Słyszał też słowo umierającego Ahasverus, widział co się działo, a od tej chwili zdaje mu się, iż wszystka klątwa spada na jego głowę. I błądzi i tuła się po świecie, jako Kain, nigdzie nie mogąc znaleść spokoju, ani spoczynku, dopóki się nie spełnią sądy Pańskie. Zostawmy go tedy, tylko litujmy się nad nieszczęśliwym! Bóg panuje nad nami, a wielkie jest Imię Jego między narody!"

Tak mówił starzec, a mężowie, żony, młodzieńcy i panny usłuchali słów starca i tylko płacząc spoglądali za nieszczęśliwym Ahasverusem, pędzącym co sił mu stało, dopóki im nie znikł z oczu między drzewami. Lecz jeszcze zdala rozlegało się nieraz: „Biada nam! Biada!"

ROZDZIAŁ III.

W tej samej chwili, kiedy na wierzchołkach gór Judzkich rozlegały się odgłosy smutnych psalmów i groźnego: „Biada!", które powtarzał Ahasverus, wtedy też smuciła się w pałacu arcykapłana szlachetna dziewica. Była to Mirja, siostrzenica arcykapłana świątyni Jerozolimskiej, panna wzniosłego ducha, czystych obyczajów, którą było można przyrównać do róż między cierniami głogami. W jej ręku spoczywała harfa, z öcz łzy padały, a w strapionem sercu przepełnionem boleściami, panował smutek głęboki nad losem narodu i miasta świętego. Wuj jej, arcykapłan udał się był do obozu rzymskiego, aby się umówić z Tytusem o warunki poddania miasta. Nie wiele bowiem mogli się żydzi spodziewać, sądząc z tego, co się już stało. W duszy tkliwej, a gorąco ojczyznę swą miłującej córy Izraelskiej przedstawił się obraz niewoli Babilońskiej — i co więcej — gruzy świętego miasta, i gruzy zburzonej, znieważonej świątyni. Szukając pociechy w swem strapieniu, mimowolnie pochwyciła za harfę, a uderzając w jej struny, zaczęła

nucić nawskróś serce przejmujący psalm z dawnych czasów:

Śpiewała zaś tak:

„Tam nad brzegami rzek Babylonu
siedzieliśmy — płacząc —
Przypominając sobie Sjon.
Na wierzchołkach przydrożnych
pozawieszaliśmy harfy —
i narzędzia gędziebne.
Ach! tam żądali od nas pieśni
wrogowie pędząc nas w niewolę
z Sjonu do Babilonu! —
Ci, którzy nas z ojczyzny pędzili:
„Ze Sjońskich pieśni pieśń
nam śpiewajcie!“ rozkazywali.
„Jaką mamy śpiewać pieśń?
Jeżeli cię zapomnę kiedy
Jaką pieśń Panu w obczyźnie?“
Jeruzalem, Jeruzalem!
Niech zapomnę wprzódy
prawicy ręki mojej.
Niech język do ust przylgnie;
jeżeli na cię Jeruzalem moje,
pamiętać nie będę;
i jeżeli cię na czele
wszystkich pociech, wszystkiego
wesela nie położę.
Pomnij na nas Panie!
Nie zapomnij dzieciom twym
dnia Jerozolimy.
Nie zapomnij co mówili:
„Zburzcie je, i wywróćcie
w niem gród i świątynię“.

Mirja wyśpiewała pieśń z dawnych czasów. Harfa przytem brzmiała odgłosem burzy, a twarz i oko dziewicy błyszczały ogniem nienawiści i zemsty, poruszającej serce. Silne uczucie nie dozwoliło jej dalej śpiewać, harfa z rąk wypadła. Byłaby za miecz pochwyciła, gdyby był pod ręką. Chwilę atoli tylko trwała wewnętrzna burza, a wkrótce łzy gorące potokiem płynęły po twarzy. — Lecz cóż to? W pobocznym pokoju stoczył się kamień, a pochodnię w ręce dzierżąc mąż jakiś, z niskiego wychodząc ganku wkroczył do komnaty. Był to rycerz, jak ubiór wskazywał, pięknej, szlachetnej, postaci. Mirja poznała, że to był Flawjan, rzymski trybun w wojsku cesarskiem dobrze jej znany, albowiem nieraz dawniej bywał i mile był przyjmowany w domu wuja jej Eleazara. Przestraszona Mirja jego nagłem przyjściem, tak się odezwała:

— Skąd i którędy? Pocóż tu przychodzisz Flawjanie? Pocóż się wdzierasz do domu nieszczęśliwej córki Izraelskiej?

— Nie pytaj się: którędy? — odpowiedział żołnierz. — Nie potrzebujesz się mnie obawiać. Ale czemu jesteś tak smutną? Czemu rzęsiste łzy wylewają twe oczy?

— I ty się pytasz, dlaczego płaczę, dlaczego się smuci serce moje, dusza moja? Nie myśl, że Mirja nie zna i nie pamięta o swych powinnościach. Alboż nie widzisz, co się stało z dawną sławą Izraela? Piękna błogosławiona moja ojczyzna, święte dziedzictwo ojców naszych Abrahama, Izaaka, Jakóba ginie już w waszych kajdanach. Czy nie jestem córką Sjońską? Czyż i w moich żyłach nie płynie krew izraelska? Wiedz o tem, Flawjanie, że miłuję miasto, w którem stał tron Dawida, w którem wznosiła się i wznosi świątynia ojców, w którem odzywał się głos proroków Pańskich, które widziało wielkie oczy bohaterów Machabejskich, i było ogniskiem życia i wesela Izraela. Ja kocham Jerozolimę, serce moje płacze nad losem narodu mego, dlatego złorzeczę wrogom naszym. Nie lękam się, o siebie, córy Judzkie, nie obawiam się śmierci, a choć nie posiadam siły, jaką Bóg natchnął Deborę i Judytę, to nie lękam się zgonu, Duch Pański żyje i w nas!

— Nie unoś się zbytecznie! — prosił Flawjan.

Lecz Mirja, nie zważając na słowa jego, mówiła dalej:

— Nie o siebie, ale o ojczyznę naszą pełną trwogi jestem. Ach wiem, co się z niej stanie, gdy przyjdzie pod srogą moc nieprzyjaciela. Nasze pałace zamienicie w gruzy, nas stąd wywleczecie i sprzedacie jako niewolników. Sjon uczynicie pośmiewiskiem narodów, świętą górę Pańską zbeszcześcicie pogaństwem! I jabym nie miała nad tem płakać? Może mam się weselić, że Bóg odwrócił oblicze od narodu naszego! Jabym się miała radować, że Pan wydaje Izraela na pohańbienie? Wszystkie me nadzieje skonały, zwiędnął kwiat życia mego. Ojczyzna grobem, a ty, Flawjanie, tyś w służbie wroga.

— Rozkaż Mirjo! — zawołał wzruszony rycerz. — Uczynię co zechcesz; jam twój na wieki!

— Co ty mówisz Flawjanie? — rzekła Mirja. — Iżeś mój na wieki. Ach, rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Chciej Mirjo, a odrzeknij się wszystkiego co ojcom było świętego, czego im nie mogli wydrzeć Faraonowie egipscy, tyrani babilońscy, królowie perscy i syryjscy; wyrzec się tego, za co przelewali krew swą Eleazar i bracia Machabejscy; wyrzec się Mirjo zakonu Bożego, a Flawjan będzie twoim.

— Zapomnieć nam Ciebie, Panie Boże ojców moich, o Tobie mam zapomnieć, Panie, któryś nam dał przykazania na górze Synaj, któryś naszych przodków wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli; któryś tyle razy, wyswobodził lud Twój z niewoli, który i teraz uwolnić nas możesz.

— Nie dziw się, Flawjanie: Miałabym się wyrzec Boga ojców moich, na zgorszenie Izraela, a sobie na potępienie, abym miała zyskać ciebie! O nigdy! nigdy!

— Więc niema już dla ciebie nadziei na tej ziemi, — rzekł Flawjan, — ty chcesz zginąć w gruzach Jerozolimy!

— Niech zginę, Ty, Flawjanie, nie wyrzekniesz się nauki Nazarejczyka, ty nigdy nie uwierzysz w zakon mych ojców, ty służyć będziesz orłom rzymskim, które rozdzierają serce mojego narodu, a karmią się mięsem braci moich. Mnie nic nie pozostanie innego, jak tylko grób w świętych gruzach Jerozolimy. Serce moje i zbawienie ojczyzny musi zginąć bez ciebie!

— Mówisz prawdę, Mirjo! — rzecze żołnierz, — Flawjan pozostanie chrześcijaninem do śmierci, na wieki i nie zdradzi cesarza, któremu przyrzekł służyć. Ale co się ciebie tyczy, wszak znasz dobrze serce moje.

— Tak jest znam cię, Flawjanie! — zawołała dziewica, — i to jest właśnie mojem nieszczęściem. Tyś mi zachował życie, cześć, swobodę i tyś mnie oddał memu wujowi. — Ja ciebie, aczkolwiek jesteś poganinem, musiałam czcić jak mego dobroczyńcę. Tyś mnie nie znał, tyś mnie nigdy dawniej nie widział, a odważyłeś się na walkę sam jeden przeciw bezbożnym łupieżcom. Jam nie zapomniała, żeś ciężkie odniósł w mej obronie rany, żeś własnego życia nie szczędził, aby zachować żywot i cześć nieznanej córki Izraela. — Któżby nie czcił i nie wielbił twej szlachetności, nieznanej u żołnierza naszych wrogów?

— Ach przestań Mirjo! — prosił Flawjan. — Są ważniejsze sprawy, o których należy pomówić. — Czas nagli. Tylko w jednem nie czyń mi krzywdy, nie jestem bowiem poganinem, ale wierzę w Jezusa Chrystusa Syna Bożego.

— Wiem o tem, bom słyszała nieraz jakieś wielbił tego Jezusa, jako dawcę życia, pokoju, błogosławieństwa i zbawienia. Lecz gdyby Jezus z Nazaretu był Mesjaszem, obiecanym od Boga, to nie byłby umarł ze złoczyńcami na krzyżu; naród nasz nie byłby przyszedł do rozpaczy, ciśniony przemocą wroga; nowe słońce świeciłoby nad Sjonem, Izrael byłby pierwszym na całym wschodzie, a Jeruzalem słynęłoby sławą Pana po wszystkich krańcach ziemi. A jeżeli nie jesteś bałwochwalcą, dlaczego służysz w szykach pogan, głównych wrogów mego narodu i świętego miasta?

— Do tego nagli mnie powinność; — rzekł Flawjan, — zresztą, czyż u was lepiej się dzieje, aniżeli u pogan? Czyż właśnie teraz nie panują w Jerozolimie swary, kłótnie, występki i zbrodnie? Nie Rzymianie,



Mirja poznała go.

ale starsi i przewodnicy waszego narodu, podają w pohańbienie świątynie, miasto i naród. Znane ci są dobrze ich czyny. Ci, którzy teraz rządzą w Jerozolimie, są synami tych, którzy przelali krew Sprawiedliwego, krew Jezusa, od Boga dla waszego zbawienia zesłanego!

Mirja zakryła oczy, bo Flawjan dotknął rany, już dawno krwawiące czyste, szlachetne serce natchnionej Izraelitki. W Jerozolimie panowała rota bezbożników, którym przewodził niejaki Jan z Giszkali. Na świętem miejscu w świątyni zajęli ci bezbożni mieszkanie, plugawiąc święte miejsce zbrodniami, wołającemi o pomstę do nieba. Nieszczęśliwe miasto srogie ponosiło klęski od tych rządców, sroższe aniżeli od Rzymian. Przemocą łupieżą, zabójstwem gnębili lud znękany; nikt w mieście nie był pewny przed nimi życia, czci i swobody. Fałszywi prorocy, wzniecając zemstę i nienawiść przeciw Rzymianom od najwyższego stopnia, mieli za sobą wszystką młodzież. Niegodziwy Jan Giszkala coraz to więcej czynił się Mesjaszem. Jedyny arcykapłan Eleazar, wuj Mirji, stał im jeszcze na przeszkodzie, zresztą wszyscy korzyli się przed nim. Tysiące słuchało głosu tego niegodziwca, który zaślepionym przepowiadał pomoc z nieba, niewidzącym otwartego grobu, co ich miał pochłonąć. Mirja oczekiwała pomocy od Boga, ale Jan z Giszkali i jego towarzysze już dawno zbrzydli jej szlachetnej duszy. Natchniona Izraelitka czuła to dobrze, że występnik nie godzien zwać się synem Izraela i że gwałciciel wiary, plugawiciel świątyni i łotr, nie może być Mesjaszem. Im więcej się utwierdzała w Jerozolimie moc tego fałszywego, zbrodniczego człowieka, tem więcej traciło jej serce nadzieję, że się Pan zmiłuje nad Jerozolimą. Słowa Flawjana rozdarły tę zasłonę, która usiłowała zakryć straszliwą przyszłość, a raczej przyczynę groźnej przyszłości.

— Ach czuję! — szeptała. Że mówisz prawdę, Flawjanie! Nasi zgubili nas, nasi splugawili świątynie, nasi są przyczyną klątwy, jaka na nas spada. Wuj mój poszedł z Giszkalą do obozu Tytusa, aby prosić o pokój. Gdy nie uprosi pokoju, wtedy już po nas. Lecz cóżby się stało z nami, gdyby ten niegodziwiec zwyciężył? Łotr gorszy od Heroda panowałby w Sjonie.

— Ufaj w Panu, Mirjo! — pocieszał ją rycerz. — On jest dobrym i łaskawym, On otworzył oczy moje, abym ujrzał światło żywota. Sądy jego są bliskie!

— Czyż nie ufam Jego miłosierdziu? — odezwała się strapiona. — Pan mą pociechą, Bóg moją obroną i nadzieją. Lecz cóż to? Jakiż to głos radosny rozlega się u bramy? Oto pokój, pokój przynosi mój wuj. — Dzięki Tobie Panie! Sjon stać będzie, a w świątyni będziemy na nowo Tobie ofiary palili!

I w rzeczy samej obwoływano po ulicach Jerozolimy pokój. Lud wychudły, więcej do trupów podobny, niż ludzkich istot, cieszył się nadzieją przyszłego pokoju. Ożyła i Mirja. Flawjan pochwyciwszy rękę Izraelitki zawołał:

— Bóg z tobą Mirjo! Jeżeli przyjdzie do pokoju, to nie będziesz potrzebowała mej pomocy. Gdy twój wuj wróci, powiedz mu, że tu byłem, aby was wyratować od zguby. Teraz odejdę napowrót do naszego domu tym tajnym gankiem. Jeżeli będzie pokój, to się wkrótce zobaczymy. Bóg z tobą.

Powiedziawszy to, zniknął wkrótce w ciasnym otworze, a drzwiczki znowu się zawarły. Mirja długo spoglądała w to miejsce, gdzie zniknął szlachetny trybun, obrońca i przyjaciel i jedyny wybraniec jej duszy, wzdychając, że nie jest synem izraelskim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MICHAŁ WOŁOWSKI.

Na rusztowaniu dla Ojczyzny.

(Garść wspomnień), Dokończenie.

Smutne było nasze mieszkanie. Okno jego wychodziło na dosyć obszerny dziedziniec, gdzie zazwyczaj wykonywano też wyroki śmierci. Cela nasza kończyła ściany czworoboku, zamykającego dziedziniec. Tuż obok mieściło się mieszkanie intedenta więzienia, który, o zgrozo! był rodowitym Węgrem.

Do strasznych ludzi należał nadzorca więzienia, ale do takich nie należało urocze dziewczę, jego córka, Ilonka.

Fijołki często wśród chwastów i zielska rosną, wśród takiego zielska wyrosła i ona, dzięki pieśni, którą matka jej nad kołyską nuciła, dzięki melodji „Rakoczego Marsza“. Matka nuciła go, ot, tak sobie, aby czemś dziecko do snu ukołysać; nie wiedziała może, że daje mu zbawienie. Rzeczy takie rodzą się same z siebie; dosyć lada wypadku, aby je wypielęgnować i wyprowadzić na świat.

W on dzień, gdy nas przyprowadzono do cytadeli preszburskiej, Ilonka z balkonu ujrzała Stefana, dowiedziała się, że jest Węgrem, że bił się za sprawę swojej ojczyzny, że zginie na szubienicy; a w duszy jej poczęły się rodzić pytania: na co to wszystko, dla kogo i po co?

Idea nie gościła w jej mózgu; poczęła pytać, rozumować i... wielbić; a pierwszym przedmiotem tego

uwielbienia stać się musiał bohater, którego zewnętrzne kształty Appolinowe odpowiadały zachwytom młodego serca. Ilonka możeby pokochała każdego innego, któregoby spotkały jej czarne oczy. Była w tym wieku, w którym miłość staje się potrzebą, nieuniknionym wypadkiem i... pokochała. W godzinę wiedziała już wszystkie szczegóły katastrofy pod Villagos, wszystkie szczegóły naszego partyzanckiego oddziału, którym Stefan dowodził; mówiła mi to później, gdym już był wolny. Sprytem kobiecym doszła numeru naszej więziennej celi; a potem tenże sam spryt kazał się jej spowiadać z uczuć ukochanemu — muzyką.

Co mogło grać węgierskie dziewczę węgierskiemu bohaterowi? Cóżby? Marsza Rakoczego! Gdym jej o tem mówił później, czem dla mnie, dla niego, była ta jej spowiedź, szeptała ze łkaniem:

— Jaka ja dobra byłam wtedy!

Owego wieczora, gdym w oczach Stefana wahanie się ujrzał, gdym się modlił, a następnie dziękował Bogu, że go od hańby uchronił, gwiazdy deszczem rzęsistym spadały z nieba — było to w sierpniu — księżyc, który zawsze jednakowo obojętnym okiem spogląda na świat i ludzi, dnia tego wstał raniej i świecił cudownym blaskiem na pociechę poetów, zakochanych i... skazanych na śmierć.

Stefan gorące swe czoło i spalone od pragnienia usta przyłożył do żelaznej kraty okna naszej celi. Wzdychał! Czy może jakie nieopisane pragnienie osiadło jego duszę? czy żal mu może zrobiło się świata i ludzi? dosyć, że na męskie oko bohatera wybiegły łzy, a zamglony wzrok chciał przebić mury więzienia, by poszybować daleko i przy blasku tego deszczu gwiazd spadających, tej jasności sierpniowego miesiąca, ujrzeć raz jeszcze ukochaną ziemię i napieścić oczy jej widokiem. Lecz czworobok dziedzińca otaczały mury; wraz z ciałem uwięziono w tej celi naszej wszystkie pięć zmysłów Stefana. Wzrok jego zatrzymać się więc musiał na sąsiedniej ścianie.

Nagle Stefan zadrżał. Z okna, które jakby przez ironję losu, maiła zieleń kwiatowa, wychyliła się, ubrana biało, postać dziewczęcia.

— Sst! — ozwało się w powietrzu — tyś Stefan Horwat?

— Ja — odpowiedział zaledwie, że dosłyszanym szeptem Stefan.

— Kocham cię — ozwał się znów głos w powietrzu.

Daj małą gałązkę tonącemu, nitkę pajęczą spadającemu w przepaść, głodnemu brylantów krocie, a będziesz widział toż samo wrażenie, jakie na moim Stefanie zrobiło słowo, które uszczęśliwia tylu. Jutro miano mu odczytać wyrok, po jutrze miał się znaleść na środku tegoż samego dziedzińca na rusztowaniu; a dziś wyciągnęła do niego rękę młodość, miłość, ze wszystkimi powabami swemi! Czyż to nie ironia? A jednak on zapomniał o jutrze, o czworoboku dziedzińcowym, o wzniesieniu, które na środku jego, niby tron, dla zwyciężonych postawią; jemu w uszach brzmiało tylko to słowo, wyszłe z ust Ilonki: „Kocham cię"!

Słyszał je, zapomniał o pragnieniu, o świecie, żył!

— Kto jesteś? — szepnął po chwili.

— Ta, która cię kocha, uwielbia, która ci wróci życie, wolność! a w zamian za to żąda od ciebie także w odpowiedzi tylko tych słów dwojga.

— Kocham cię! — wybiegło jednym tchem z ust Stefana.

Zatrzepotało coś w oknie, jakiś ruch zapanował w mieszkaniu nadzorcy więzienia; zjawisko znikło z okna, a spadające gwiazdy i blady księżyc nocy tej patrzyły, dopóki mogły, na blade czoło Stefana, oparte o kraty więziennej celi.

Nazajutrz rano sprawiono Stefanowi wspaniałą ucztę. Jest u nas zwyczaj, że skazańcom, przed ostatnią wędrówką, nie odmawia się niczego; fetuje się ich wspaniale, aby jeszcze na tamtym świecie pamiętali, jak rozkoszną jest ziemska wędrówka.

Rozumiałem, co to znaczyć miało. O dziesiątej z rana zawołano Stefana do sądu; dopuścił się tylu zbrodni wobec Jego Apostolskiej Mości, że musiał umrzeć, jak wielu, na szubienicy. Patrzałem na niego. Wyrok zdruzgotał go. Nie chciałem, aby na bohatera Węgier patrzano z urąganiem; nie chciałem, aby go widziano drżącym, przy drzewie hańby i tryumfu. Myślałem, jakby na to wynaleźć środek?

Więźniowie mają swój język, bo niewola w nich budzi spryt, a potrzeba jest matką wynalazków.

Dnia tego jeszcze Ilonka otrzymała odemnie bilecik: Jutro wstań rano, nie patrz na dziedziniec, tam stracą jednego z więźniów; Stefan chory, o piątej zagraj mu „Marsza Rakoczego".

I nadszedł fatalny ranek. Stefan, blady drżący, kończył wraz ze mną i księdzem ostatnie swoje modlitwy. Była blizko piąta. Drżałem; serce mi się ściskało, nie z żalu jednak — z obawy, aby mu odwagi nie zabrakło. Stroiłem go w dolman węgierski i w kołpak z pióropuszem, jak stroi matka ukochane swe dziecię w dzień świąteczny, przerażał mnie jednak: nogi uginały się pod nim, drżał jak we febrze.

Nagle ozwały się pierwsze akordy Marsza Rakoczego; uśmiechnąłem się, spojrzałem na Stefana: wyprostował się jak struna, oko zapałało mu dziwnym ogniem, ręka mimowoli sięgnęła do prawego boku... i ujrzałem go takim, jakim widzieć pragnąłem — bohaterem!

— Niech żyją Węgry: — wrzasnąłem mu ponad uchem.

— Niech żyją! — powtórzył, zdejmując kołpak z głowy i szedł jakby na bal, a nie na szubienicę.

Muzyka nie ustawała, ale była mu raczej weselnym marszem, aniżeli pogrzebową nutą.

— Patrzcie! patrzcie! tak umierają Węgrzy za ojczyznę swoją! — szeptano wśród żołdaków austrjackich — szkoda go! taki dzielny a piękny!

A on, z podniesioną do góry głową, z uśmiechem na ustach, szedł pewnym krokiem naprzód.

Muzyka brzmi coraz gwałtowniej, on coraz prędzej idzie. Zdjął jeszcze raz kołpak, odwrócił oczy w stronę okna, skąd ożywcze płynęły jej dźwięki, uśmiechnął się łagodnie i powiedział nie wiele:

— Kocham cię! Niech żyją Węgry!

I nie dodał już nic więcej... zawisnął na sznurku — skonał!

Węgry dumne były z takiego syna.

— A Ilonka, mój dziadku? — pytałem — cóż się z nią stało, gdy się dowiedziała o wszystkiem.

— Ilonka? wychowała później kilku synów, którzy, tak jak Stefan, umierać potrafią; piastowałem ich na swoich własnych rękach i Marsza Rakoczego im śpiewałem.

Tu dział mój podniósł się z kamienia, torbę przez plecy zarzucił, kij ujął w silne dłonie i szepnął mi na pożegnanie:

— Bądźcie zdrowi, a wspomnijcie se czasem o tej prawdziwej historji.

Odszedł; nie ruszyłem się z miejsca długo. Dziad o parę kroków odemnie zanucił nieśmiertelną pieśń swego narodu.

Westchnąłem. Czy wiecie nad czem? Że takiego dziada, któryby takie piękne opowiadał bajki, nie udało mi się spotkać na moim rodzinnym zagonie.

Bo piękna to była bajka!



Poradnik gospodarczy.

Gdy rodzina pszczela tak się rozrośnie w ulu, iż jej za ciasno, wtedy postanawia podzielić się na dwie części i następuje tak zwana rójka. Pień pszczół doszedł do największej siły. Słabe pnie prawie nigdy się nie roją. Właściwą porą rójki jest czerwiec do połowy lipca. Zdarza się, iż roje wychodzą już w maju. Przysłowie pszczelarskie powiada, iż majowy rój wart furę siana, to znaczy, iż nie tylko się obrobi, ale jeszcze da duży dochód. Im rój późniejszy tem mniej wart, powiększa on wprawdzie pasiekę, ale bez podkarmienia w jesieni, nie przetrwa zimy.

Oznaką pierwszą zbliżającej się rójki jest ciągnięcie roboty trutowej. Następną oznaką jest budowa mateczników. Jeżeli zobaczymy w mateczniku jajeczko, to mamy pewną zapowiedź, iż rój niebawem wyjdzie. Gąsieniczka karmiona obficie w mateczniku rośnie bardzo szybko. Pszczoły na gwałt dobudowują ściany matecznika, matecznik wydłuża się i zaokrągla. Kiedy gąsieniczka ma 5 dni, matecznik zostaje zakryty. Zakrycie matecznika jest zapowiedzią, iż za 2—3 dni wyjdzie rój. Pszczoły budują kilka mateczników, a czynią to na wypadek, gdyby jedna matka zmarła, aby mieć w zapasie inną. Budowa mateczników jest rozłożona tak, iż często najstarszy matecznik już zakrywają, a w najmłodszym dopiero jest jajeczko.

Na kilka dni przed rójką wysyłają pszczoły tak zwany „Isk". Jest to jakby wysyłka przedniej straży, której zadaniem jest wyszukać nowe mieszkanie, a nawet go wyczyścić i przygotować dla nowej rodziny.

W dużej pasiece często możemy widzieć isk, jak w pustym niezamieszkałym ulu przygotowuje go dla roja, pracując przez cały dzień, a na noc powracając do rodzinnego gniazda. Rój może wyjść rano, najczęściej wychodzi między godziną 11—2 ale może wyjść nawet i później zwłaszcza w porę deszczową.

Doświadczony pasiecznik pozna po zachowaniu się pszczół, iż zanosi się na coś niezwykłego. Matka stara pobiera od paru dni coraz mniej pokarmu, aby była żwawszą i lżejszą do lotu. Pszczoły w dzień rójki wylatują jak zwykle za pożytkiem i wracają obładowane, ale nie wszystkie wchodzą do ula, ale niektóre siadają na ulu. Przed oczkiem zaczyna się przegra pszczół, która wzmaga się coraz więcej, aż rój zaczyna się wprost sypać z ula — kilkanaście tysięcy pszczół ze straszną siłą wprost wypycha się — powstaje radosny zgiełk, szum, brzęk, zrazu wolny, potem coraz silniejszy. Pszczółki wzbijają się w powietrze, przebiegają w różne strony, tworząc dla pasiecznika radosny widok.

Wesoła i bardzo zadowolona chmura pszczół, pobujawszy nad pasieką parę minut, zwraca się i gdzieś osiada. Pszczoły rojące się są łagodne i prawie nie zwracają uwagi na ludzi, nie żądlą, gdyż, mając napełnione pęcherzyki miodem, z trudnością mogą wysuwać żądło. Prawie nigdy z ula nie wzbijają się pszczoły wprost w powietrze, aby ujść, ale zawsze wiążą się na drzewie nisko lub wysoko i tu chwilę pozostają. Jest to jakby odpoczynek czy narada — a może oczekiwanie na wysłany „isk", który rój poprowadzi.

Dobry pasiecznik nie powinien się denerwować wychodzeniem roja, ale stać spokojnie i patrzeć się, jak jego pszczółki szczęśliwe radują się rójką. Gdy już rój osiadł, wtedy chwila stosowna dla bartnika do działania — przysposobił sobie już dawniej rojnicę, dym i sikawkę, skrzydło do zmiatania pszczół. Teraz te przyrządy będą mu potrzebne, gdyż pszczoły osiadłe trzeba zebrać. Jeżeli rój osiadł na gałęzi, podstawiam rojnicę, silnie uderzam w gałąź, a rój wpada do rojnicy — powoli rojnicę odwracam dnem do góry, ustawiam na ziemi, aby wszystkie pszczoły z roja się zgromadziły, następnie obwiązuję rojnicę bardzo rzadkiem płótnem, (organtyną) i zanoszę rój do piwnicy.

Jeżeli pszczoły w rojnicy spokojne, to znak, iż matka jest w roju. Jeżeli niespokojne, to brak matki. Brak matki w roju należy do bardzo rzadkich wypadków, gdyż, gdzie rój tam i matka. Pszczoły rojące się, gdy spostrzegą brak matki, powracają natychmiast do ula.

Przed osadzeniem roja, trzeba ul dla niego odpowiednio przygotować. W tym celu z pnia, z którego wyszedł rój, zabieram plaster, w którym są jajeczka i miód i przenoszę do nowego ula, dodając ramek według wielkości roja. Następnie wieczorem wsypuję rój do przygotowanego ula i ul zamykam.

Rozsypane w pasiece pszczoły same ściągną do ula. Na drugi dzień otwieram i podmiatam ul, ale tak, aby pszczołom w pracy nie przeszkadzać.

Ciekawą rzeczą jest, co robi nowo obsadzony rój w ulu? Przedewszystkiem pszczoły wsypane z rojnicy podchodzą do góry i obsiadają plaster im dodany z ula macierzystego — potem obsiadają ramki i zaczynają ciągnąć nowe plastry lub czyszczą stare i składają przyniesione ze sobą zapasy to jest miód i perchę. Inne pielęgnują młode, czyszczą ściany ula i powlekają je kitem, zgryzając każdą drzazgę a zatykając każdą szparę.

Na drugi dzień wylatują, a po krótkim oblocie idą w pole za pożytkiem i pracują jak w starym ulu.

Jan Matysik.

Myśli.

Kto górą głowę nosi, dumny z swej nicości,
Ten najłatwiej kark skręci, runie z wysokości.

Masz rozum, wolną wolę, szczęśliwy człowieku,
Czyń, co ci się podoba, lecz końca wyczekuj.

Masz majątku mało, wiela
Znajdziesz łatwo gościa — ale trudno przyjaciela.

Nie ta dobra gosposia, co się bawi, stroi,
Lecz co dobrze chleb piecze — dobrze krowy doi.

Piotr Wenc.

KRONIKA.

Pogoda w lecie. Jak przepowiadają meteorologowie, czerwiec skończy się dżdżysty i chłodny. Lipiec wykaże jeszcze pewne do niego podobieństwo w pierwszych 3—4 dniach. Potem nastąpi stopniowe polepszenie się pogody z dość pięknym okresem, przynoszącym ciepła i upały, mniej więcej do 24 lipca. Przejściowe ochłodzenie z opadami około 11, 16 i 20 lipca. Burzliwie szczególnie na początku. Sierpień będzie również dość ciepły, lecz dość zmienny co do temperatury i pogody wogóle. Dużo lokalnych opadów. Ochłodzenie nastąpi około 4, 15 i 20 sierpnia. Wrzesień będzie dość ciepły i piękny, szczególnie w swej drugiej połowie. Większe opady i ochłodzenia nastąpią około 4 i 8 września, potem w połowie i końcu tego ostatniego miesiąca letniego.

Wielki pożar we Lwowie. W nocy z czwartku na piątek wybuchł we Lwowie wielki pożar w fabryce czekolady i cukrów „Branka“ przy ul. Szeptyckich 26.



Pożar powstał przed północą i w krótkim czasie z powodu zajęcia się materjału łatwo palnego w postaci pudełek, papierosów i bibułek, objął wszystkie zabudowania fabryczne od strony ul. Gródeckiej. Z morza ognia ocalało z trudem 5 robotników, którzy spali w sianie na strychu jednego z budynków. Tren straży pożarnej z sikawkami motorowemi zmagał się ze szerzącemi się płomieniami do godz. 4 rano. Po tym czasie dopiero zdołano pożar zlokalizować. Przerażeni mieszkańcy sąsiednich kamienic ewakuowali swoje mieszkania, wynosząc rzeczy na ulicę. Pilnująca porządku policja, miała ciężką przeprawę ze zgrają złodzieji, którzy autami zjechali na miejsce pożaru w celu rabunku. Dochodzenia policyjne wykazały, że ogień powstał z powodu nieostrożności robotnika, obsługującego piec piekarski. Szkody są olbrzymie. Z powodu unieruchomienia fabryki, pozostało bez pracy przeszło 350 robotników.

Tragiczne następstwa wycieczki. Z Horodenki donoszą o tragicznym wypadku, który zdarzył się podczas wycieczki szkolnej urządzonej przez tamtejsze gimnazjum, a którego całą winę ponoszą niestety nauczyciele, prowadzący tę wycieczkę. Młodzież szkolna wyruszyła z profesorami z Horodenki do wsi Horodnicy nad Dniestrem na majówkę. W czasie zabawy ktoś rzucił myśl przepłynięcia Dniestru. W epoce tak rozbujałego życia sportowego, szalejących konkursów i rekordów na wszystkich polach, ta myśl zyskała powszechną zgodę. Do tego śmiertelnego, jak się później okazało, wyścigu stanęli dwaj profesorowie i jedna nauczycielka razem z uczniami. W tem miejscu Dniestr nietylko jest szeroki, ale posiada też bardzo bystry prąd i wiry, o czem — zdaje się — nauczyciele, ani uczniowie nie wiedzieli. Trzeba się dziwić, że tylko jeden z płynących padł ofiarą, mogło być bowiem gorzej. Utonął 20-letni uczeń 7-mej klasy gimnazjalnej, syn naczelnika stacji w Horodence, Drapalik. Reszta uczniów (z wyjątkiem tych, którzy zawrócili) szczęśliwie dobiła do brzegu. Zwłok ut‹ pionego nie zdołano dotychczas znaleźć. Można sobie wyobrazić rozpacz rodziców po stracie jedynaka. Policja tamtejsza rozpoczęła dochodzenia celem ustalenia winy nauczycieli.

Potworny zamach. We wsi Wołosate, powiat liski, zaszedł niezwykle potworny wypadek zamachu na życie całej rodziny, którą zbrodniarze w nienawiści zamierzali usmażyć żywcem w ogniu. Zamachu dokonali: Fedor Rusyn i Wańko Becha, którzy podpalili w nocy dom Eljasza Rusyna, zawiązawszy najprzód klamki i okucia drzwi i okien domu drutem kolczastym, w celu uniemożliwienia znajdującym się wewnątrz ucieczki. Obudzeni ze snu mieszkańcy, z trudem przy pomocy sąsiadów, zdołali wyłamać drzwi i uciec z palącego się domu. Brat gospodarza, Semen, doznał przytem śmiertelnego poparzenia, wskutek czego zmarł. Obu zbrodniarzy aresztowano.

Pożar fabryki. W piątek o godz. 5 nad ranem uśpiona Łódź zaalarmowana została rykiem syren fabrycznych i sygnałami automobilów strażackich, które mknęły w szalonym pędzie przez puste ulice do groźnego pożaru. Szalejący żywioł ogarnął zabudowania fabryczne przy ul. Cegielnianej 68, należęce do Pawła Langego. O godz. 4 30 nad ranem dwaj robotnicy ze sąsiedniej fabryki zauważyli smugę dymu, wydobywającego się z okna II piętra i natychmiast zaalarmowali straż ogniową. Na miejsce pożaru przybyło sześć oddziałów straży, fabryki jednak nie udało się uratować, a całe wysiłki straży ogniowej skierowane zostały w celu zabezpieczenia sąsiednich gmachów przy ul. Cegielnianej, a mianowicie pod numerem 70, gdzie mieści się stolarnia i mechaniczna fabryka mebli. Dach tej posesji zaczął już płonąć, na szczęście ogień udało się w zarodku stłumić. Fabryka Langego, wielki trzypiętrowy gmach, spłonął doszczętnie, pozostały tylko zgliszcza.

Uduszony i spalony. We wsi św. Anna pod Łodzią wybuchł przed kilku dniami pożar w zagrodzie Stefana Pułanina. Ponieważ pożar wybuchł wieczorem o godz. 10, akcja ratownicza napotkała na różne przeszkody, mimo to po walce z żywiołem dało się ogień umiejscowić. Po ugaszeniu pożaru, kiedy sąsiedzi weszli do mieszkania, ujrzeli spalone zwłoki właściciela zagrody Stefana Pułanina, który leżał w łóżku. Okoliczność wydała się wszystkim podejrzana, tembardziej, że w mieszkaniu nienaruszone były meble, natomiast całkowicie spalone łóżko z pościelą, na którem spał Pułanin. Ponieważ okoliczność pożaru wydała się podejrzaną, przystąpiono do badania obecnej żony Pułanina, Janiny. Pułaninowa zeznała, iż krytycznego wieczoru odbyła się u nich libacja, podczas której doszło do ostrej wymiany słów i walki na pięści pomiędzy mężem a jednym z uczestników libacji. Ponieważ Pułanin był mocno poturbowany, poprosił żonę, aby go rozebrała i położyła do łóżka, poczem poprosił o papierosa. Spełniwszy życzenie męża, Pułaninowa wyszła na podwórze, potem wkrótce wybuchł pożar. Mimo tych wyjaśnień stwierdzono, że pożar w zagrodzie nie powstał przypadkowo, lecz spowodowała go żona Pułanina. Dalsze badanie zwłok ujawniło, że Pułanin przed spaleniem został uduszony, potem zaś oblany naftą i podpalony. O bestjalski ten mord oskarżoną została żona Pułanina, Janina, która została aresztowana i osadzona w więzieniu łódzkiem.

Zabobony i ich skutki. „Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie umiera“. O głębokiej prawdzie aforyzmu Szekspira świadczy następujący fakt, który przypomina

najbardziej naiwne zabobony średniowieczne. Urzędnik pocztowy Tołł, mieszkaniec Baranowicz, został wydelegowany w sprawach służbowych na teren powiatu i długo nie wracał. Zaniepokojona żona postanowiła dowiedzieć się czegoś pewnego o jego losach, udała się więc do... wróżki. Po dokonaniu szeregu tajemniczych praktyk okazało się, że przyszłość p. Tołł jest przerażająca. Mąż jej już nie kocha i ożeni się z inną, ona zaś umrze u boku innego mężczyzny. Jedyne co pozostaje p. Tołł do zrobienia, żeby uniknąć jeszcze okropniejszych przykrości, to aby sprzedała swe rzeczy i wyjechała z miasta. P. Tołł oczywiście wszystkiemu uwierzyła, sprzedała rzeczy i wyjechała z miasta. Rzeczy za bezcen nabyła... wróżka, która p. Tołł obdarowała jeszcze jakiemiś tajemniczemi kroplami. Niedługo potem wrócił mąż i... nie poznał swego mieszkania. Żona i rzeczy zniknęły, pozostały tylko puste ściany. Dopiero po długich poszukiwaniach okazało się, że żona jego znajduje się w zupełnej nędzy w Wilejce. Wszystko wyszło na jaw. Krople były zwykłą wodą, a cała przepowiednia wierutnem kłamstwem, wymyślonem jedynie po to, aby od łatwowiernej niewiasty nabyć prawie darmo cenne meble. Sprytna wróżka powędrowała do więzienia, a p. Tołł przyrzekła mężowi, że już nigdy żadnym wróżkom wierzyć nie będzie.

Morderstwo w sali sądowej. W sądzie okręgowym Hietzing w Wiedniu rozegrała się tragedja, która wywołała ogólne podniecenie. Były redaktor gospodarczy „Neues Wiener Journal“, Oskar Poefl, zastrzelił na sali sądowej pięcioma strzałami swego dawnego kolegę redakcyjnego, szefa działu lokalnego tej gazety, Brunona Wolffa, kładąc go trupem na miejscu. Przyczyną zabójstwa było to, że Bruno Wolff, jako członek rady honorowej dziennikarzy wiedeńskich, zbierał przeciwko niemu materjały, które go mocno skompromitowały. Poefl dopuścił się różnych wymuszeń, z powodu których został wydalony z redakcji dziennika.

Zabójstwo trzech posłów. W ubiegłą środę w parlamencie jugosłowiańskim, tak zwanej skupsztynie miało miejsce tragiczne zajście. Oto gdy zwolennik partji chłopskiej, Perner, rzucił szereg obelżywych słów pod adresem opozycji, wówczas poseł czarnogórski Racic dał kilka strzałów w kierunku posłów z partji chłopskiej Radicza. Skutki strzałów były straszne, gdyż trupem padło trzech posłów, a mianowicie Dżura, Bassaricek i Paweł Radicz, zaś ranni zostali posłowie: Stefan Radicz, Grandia, Jelasic i Penar. Zabójcę aresztowano.

58 krotna kara śmierci. Sąd w Belgradzie, w Jugosławji, wydał ostatnio wyrok, mocą którego oddawna poszukiwany a obecnie schwytany niebezpieczny bandyta skazany został dwukrotnie na śmierć oraz 760 lat ciężkich robót. Wyrok ten był wynikiem kryminalnego prawa serbskiego, które nakazuje, aby za każdy popełniony czyn przestępny winny odpowiadał oddzielnie. Sąd wyższy jednak, do którego odwołał się skazany, karę tę zredukował do 120 lat więzienia, ale za to skazał go na 58-krotną karę śmierci.

Majątek nie daje szczęścia. Biedny krawczyk francuski w prowincjonalnem miasteczku Roubaix otrzymał od kljenta za uszycie spodni los loterji klasowej. Nie chciał przyjąć losu, wolał gotówkę, bo był biedny i żył z dziennego zarobku. Lecz kljent oświadczył, że niema pieniędzy. Musiał więc los przyjąć. W dwa tygodnie później przeczytał w gazecie, że los jego wygrał 1 miljon franków. Czekał dotąd, by zgłosił się ów kljent, który dał mu ten los. Kljent się nie zjawił. Po miesiącu udał się do Paryża, by podjąć z banku wygraną. I odtąd zaczęło się życie, które sprzykrzyło mu się tak dalece, że chciał je sobie odebrać. Zjawili się u niego aferzyści i agenci, przyjaciele, których nie znał, krewni, o których nigdy nie słyszał. Narzucały mu się kobiety i naciągały na upominki. Wciągnięto go w wir życia paryskiego, przeobrażono przy pomocy fryzjera i krawca tak bardzo, że sam siebie nie poznał w lustrze. Nie upłynął miesiąc, a z miljona franków ubyła jedna piąta część kapitału. Ogarnęła go też taka niechęć do życia, że wróciwszy raz z nocnej hulanki do hotelu, poderżnął sobie brzytwą żyły u rąk, chcąc skończyć z życiem. Odratowano go jednak. Wyleczony opuścił Paryż, wrócił do rodzinnego miasteczka i oświadczył, że dalej szyć będzie ludziom ubrania i ani myśli prowadzić życia miljonera. Ponieważ jest kawalerem, otrzymał setki liścików z propozycją małżeństwa. Listy te spalił, a przyjaciołom zapowiedział, że pieniądze wygrane rozda instytucjom dobroczynnym.

Cudowne uzdrowienia w Lourdes. Do Lourdes napływają tysiące pielgrzymów. Według doniesienia gazet francuskich z 28 maja ostatnio trzy osoby doznały cudownych uleczeń. Dwie z nich, to chorzy Belgowie, trzecia — młoda Francuzka w djecezji Saint-Claude. Henryk Voeds, żandarm z Brukseli, miał gruźlicę prawego szczytu płuc. Czterokrotnie chorował na zapalenie płuc, ostatni raz w maju b. r. Przyjechał do Lourdes w gorączce, z krwotokami, pocąc się ogromnie. Zanurzywszy się w sadzawce, poczuł się uzdrowionym. Lekarze stwierdzili zupełne uzdrowienie. Drugi przypadek cudownego uleczenia spotkał Maurycego Beurriot, górnika z Mons; cierpiał on na bardzo przykrą gruźlicę skóry, którą poprostu zdzierał z siebie paznogciami. Nie mogąc nosić ubrania, leżał w łóżku. Kąpiel w sadzawce spowodowała odpadnięcie strupów i natychmiastowe zagojenie się ran. Na ciele chorego nie pozostało śladu choroby. Panna Marguerite Bully z Nozevoy (Jura), według ostatniego świadectwa lekarskiego z dnia 5 maja b. r. cierpiała na chorobę lędźwi; z prawej strony miała wrzód ropiący, ciągnący się aż do połowy pachwiny. Przed trzema laty w następstwie wrzodu tuberkulicznego odjęto jej duży palec u nogi. Doktór uważał jej kurację za trudną i jeżeli była mowa o wyleczeniu, to nie przed upływem sześciu—pięciu lat. Uzdrowiło ją zanurzenie w sadzawce w dniu 22 maja b. r. Lekarze jednogłośnie stwierdzili wyleczenie.

Przedstawienie dla brzydkich mężczyzn. W teatrze „Apollo“ w Madrycie osiągnęła chlubną setkę przedstawień sztuka p. t. „Kto cię lubi?“ Tematem tej sztuki jest brzydota, która obarczonemu nią człowiekowi utrudnia walkę z losem i jest dlań przyczyną wielu klęsk i konfliktów w życiu. Zdaniem autora ludzie szpetni, to cisi, przez nikogo nieuznani bohaterowie, którzy narażeni na niepowodzenia, często krzywdzące i niezasłużone, zmagają się z przeciwnościami. Dyrektor teatru „Apollo“ wpadł na bardzo zręczny pomysł zareklamowania sztuki: ogłosił, że setne przedstawienie będzie wyłącznie dla brzydkich mężczyzn i to bezpłatnie. Kto zatem w Madrycie rości sobie pretensje do tytułu brzydaka, ten niechaj zjawi się przed specjalną komisją, która osądzi, czy dany przedstawiciel płci brzydkiej posiada warunki, aby mógł wziąć udział w wieczorze. Panie zostały wykluczone z tego niepochlebnego współzawodnictwa, nie dlatego, jakoby w Madrycie były tylko same piękne Hiszpanki, lecz dlatego, że dyrektor teatru „Apollo“, oświadczył z galanterją, iż niema bezwzględnie brzydkich kobiet i każda może mieć w danych warunkach swój urok i powab. Na setnem przedstawieniu sztuki „Kto cię lubi?“ wypełniła się widownia teatru „płcią brzydką“ w całem tego słowa znaczeniu.

Piekło na ziemi. Około Odessy w komunie rolnej „Zinowjewka“, jak donosi gazeta „Komunist“, członko-

wie komuny, która miała być wzorem gospodarstwa rolnego, korzystali z pracy wyrobników, sami nic nie robiąc. Parobcy ci mieszkali w chlewach razem z trzodą, nie otrzymywali za swą pracę żadnego wynagrodzenia prócz nędznej strawy. Stosunki panujące w tej komunie, wykryte zostały przez śledztwo, wytoczone z powodu śmiertelnego pobicia jednego z robotników. Na wyspach Sołowieckich w dawnym klasztorze znajduje się obecnie więzienie sowieckie. Tortury jakie tam przechodzą ofiary komunizmu, przewyższają swem okrucieństwem wszystko, cokolwiek fantazja ludzka w tym kierunku wysnuć zdołała Na czele więzienia stoi pomiędzy innymi osławiony Kwiecińskij, który był swego czasu komendantem katowni w Chołmogorach i ma na sumieniu 11 tysięcy ludzi skazanych na śmierć, którzy zginęli wśród najokropniejszych męczarni. Po zlikwidowaniu tej „czeki“ kazał Kwiecińskij wysadzić w powietrze cały gmach, ażeby raz na zawsze zatrzeć ślady swej bezprzykładnej zbrodni. Drugim dyrektorem Sołowieckiego więzienia jest Michelson, były towarzysz Beli Kuhna. Urzędując na Krymie, wydał on na śmierć w przeciągu kilku tygodni około 40 tysięcy ludzi. Niejaki Klinger, któremu cudem udało się uciec z Sołowiecka, opowiada, że więźniowie, z których 90 procent stanowią kontrrewolucjoniści, pracują tam od wczesnego ranka do późnej nocy. Niemogących pracować na skutek zupełnego upadku sił, zamyka się w t. zw. karnych komorach, w których skazańcy w jednej tylko bieliźnie pozbawieni są światła i ogrzewania i otrzymują 20 deka chleba dziennie i raz na dwa dni dzbanek wody. Po kilku już dniach nieszczęśni ci dostają ataku szału i wyją jak zwierzęta. Często duszą się nawzajem. Mniej wytrzymali zamarzają na śmierć i niema dnia, by z tych „izolatorów“ nie wynoszono kilka trupów. Za każda przewinienie więźniom grozi śmierć od kuli strażnika.

Małżeństwo z „rocznem wypowiedzeniem“. W Izbie reprezentantów w Meksyku wniesiony został projekt ustawy, która przewiduje wprowadzenie czasowych małżeństw na jeden, dwa albo trzy lata. Liczą się z przyjęciem tej ustawy. Wstępujący w związki małżeńskie będą mogli odtąd zawierać małżeństwo na czas nieograniczony, którego ważność wygasa dopiero z chwilą śmierci jednego z małżonków, względnie na mocy sądowego rozwodu, albo też małżeństwo czasowe, które po upływie terminu może być zamienione na małżeństwo trwałe.

Tragedja Polaka na obczyźnie. Terenem niezwykłej tragedji był cmentarz przedmieścia Chicago, River Forest. Zarządca obchodzący cmentarz, spostrzegł wiszącego na drzewie mężczyznę w średnim wieku w pozycji niemal klęczącej nad zwłokami 5-letniego chłopca. Dochodzenia urzędowe wykazały, co następuje: Desperat, którym był Polak, niestwierdzonego narazie nazwiska, zwabił syna na cmentarz pod pozorem, że prowadzi go na zabawę. Znienacka założył dziecku pętlę na szyję i powiesił je na gałęzi. Gdy chłopak zakończył życie, odciął zwłoki i położył je na ziemi, następnie na tym samym konarze zawiesił nową pętlę, w którą włożył swoją głowę. Ponieważ pętla zwisała zbyt nisko, nogami dotykał ziemi. Trzeba było nielada wysiłku woli, by w tych warunkach odebrać sobie życie. Desperat podkurczył pod siebie nogi, wskutek czego ciało zwisało i nastąpiła śmierć. W kieszeni desperata znaleziono 11 centów i list następującej treści: „Jestem bez pracy i nie mogę znaleźć zajęcia. Chcę, aby mi cała rodzina przebaczyła. Nie dbam, gdzie mnie pochowają. Przekonajcie się, że to, o coście mnie oskarżali, jest nieprawdą. Zabieram ze sobą z tego świata to, co mam najdroższego“.

Pojedynek o kobietę. Niezwykle sensacyjny pojedynek odbył się niedawno w Nowym Jorku. Dwaj antagoniści, Charles Stewart, liczący 75 lat i Wiliam Ruston, liczący 60 lat, ubiegali się równocześnie o względy młodej, 20 letniej panny. Ponieważ panna nie zdecydowała sama, którego wybiera, postanowili sami rozstrzygnąć, kto ma być wybrańcem.



Odbył się pojedynek na pistolety, w którym raniony został Wiliam Ruston. Zrozpaczony myślą o utracie panny, Ruston wpakował sobie pięć kul rewolwerowych. Odwieziono go natychmiast do szpitala, a Stewarta aresztowano pod zarzutem usiłowanego zabójstwa.

Proces o spadek po zdechłym psie... Bywało już na świecie, że ktoś odziedziczył spadek po ciotce w Ameryce, po bogatym wujaszku w Alasce, albo w Kamerunie — nie było jednak przykładu, aby odziedziczono wielki majątek po zdechłym psie. Przed rokiem zmarł w Colorado, na południu Stanów Zjednoczonych niejaki Fred Foerrester, bogaty dziwak. Wychodził on z założenia, że jego krewni są znacznie gorsi od ośmnastoletniego buldoga, który z nim spędził wiele chwil radosnych i smutnych w czasie życia na rozległych prerjach stanu Colorado, przeto cały swój majątek, wynoszący około dwóch miljonów dolarów, zapisał opasłemu buldogowi... Testament jest testamentem. Towarzystwo opieki nad zwierzętami zaopiekowało się, rzecz oczywista, tak bogatym psem, ale wierny przyjaciel Forrestera żył zaledwie jeden rok i zdechł. Obecnie krewni Forrestera wytoczyli Towarzystwu opieki nad zwierzętami proces o zwrot spadku, w nadziei, że uda im się dobrać do pozostałych dolarów.

Okropne widowisko. W Chicago istnieje zwyczaj, że co tydzień w niedzielę publiczność może oglądać bandytów za kratami, jak drapieżne zwierzęta w menażerji. Na przegląd ten przybywają przeważnie obrabowani, aby poznać swych prześladowców. Podczas jednego z ostatnich takich przeglądów zebrało się około 500 obrabowanych. Szef detektywów pokazał im przedewszystkiem trzech groźnych rzezimieszków, którzy dokonali krwawego napadu rabunkowego na kasę kabaretu Ritz w Berwyn. W czasie napadu zginęła wówczas kasjerka panna Eggleston. Zbrodniarzom grozi krzesło elektryczne. Następnie wszyscy trzej bandyci pod konwojem musieli udać się na miejsce zbrodni i wobec publiczności powtórzyć ze wszystkiemi szczegółami krwawy napad, którego dokonali. Było to straszne widowisko. Bandyci pokazali jak dokonali napadu na kasę teatralną, jak zastrzelili kasjerkę oraz jak strzelali do tłumu, wybiegając z teatru. Zbrodniarze wykonali te wszystkie czynności ze łzami w oczach. Widać było, że przechodzą psychiczne tortury.

RZECZY CIEKAWE.

Wiek Adama.

Pewien uczony statystyk ameykański, nazwiskiem dr. Robert P. Field, z Filadelfji, poświęciwszy długie lata badaniom statystycznym, geologicznym, historycznym oraz wielu innym, doszedł do niezbitego przekonania, że nasz praojciec Adam żył na jakie 15 do 20 tysięcy lat przed naszą erą chrześcijańską. Dr. Field w studjach swych, nie poprzestał na samej tylko biblji, ale uciekał się do pracowitego dodawania, odciągania, mnożenia i dzielenia różnych dat, które dopiero, pracowicie zestawiwszy, doszedł do powyższego rezultatu. Nie dość na tem: dr. Field przyszedł również do przekonania, że Adam umarł, licząc 103 lata.

Pijaństwo wśród zwierząt.

Nietylko człowiek jest zwolennikiem upajających trunków. Zwierzęta, ptaki, owady, nawet ryby, jak się okazało przy sposobności, mają pociąg do pijaństwa.

Kozły, świnie i myszy wyróżniają się pod tym względem. Świnie przepadają za osadem, który się tworzy na dnie beczek od piwa, a gdy im się uda dostać do tego przysmaku piją do upadłego, a potem tarzają się i chwieją prawdziwie „pijane jak świnie". Zabawny widok przedstawia gromada pijanych świń, gdy tarzają się powracając do chlewów.

Ciekawy wypadek upicia ptaków zdarzył się raz podczas podróży gołębi pocztowych, wiezionych na lot konkursowy. Jechało ich ponad 400 sztuk w klatkach w wagonie kolejowym. Po przybyciu na miejsce przeznaczenia wypuszczono je i z całej masy wróciło zaledwie ok. czterdzieści sztuk. Właściciele zrazu zdumieni byli zniknięciem reszty swoich „wyścigowców", ale, że te, które powróciły, dowlokły się do domu w stanie zupełnie nietrzeźwym, skandal ten naprowadził na trop wyjaśnienia zagadki. Ścisłe dochodzenia wykazały, że znaczną część ładunku w wagonie stanowiło wino porzeczkowe, które wyciekło na podłogę. Klatki z gołębiami stały w wagonie, razem z winem, łakome ptaki wypijały płyn z podłogi i to sprowadziło tak smutne następstwa dla uczestników wyścigów.

Jeszcze bardziej gorszący przykład ptasiego pijaństwa zdarzył się w Szkocji. Pewnego dnia hodowca gęsi usłyszał niesłychaną wrzawę. Gęsi wracały do domu gęgając, skacząc, bijąc się i trzepiąc skrzydłami — jednem słowem zachowywały się w sposób u gęsi niesłychany i były pijane. Wypadek śmieszny — naraził jednak właściciela na poważne straty, gdyż gęsi nie były potem zdatne do niczego. Spędzały czas na pijaństwie, a jeżeli nie piły, to spały jak zabite. Okazało się, że znalazły drogę do sadzawki zatrutej ściekami z pobliskiej rafinerji spirytusowej i upijały się bez ratunku.

Nawet wzór pracowitości, pszczoła, nie jest wolna od tej wady. Pszczelarze dobrze wiedzą, że pszczoły upijają się nieraz sokiem z niektórych aromatycznych kwiatów. Jest pewien gatunek mięty, której kwiaty wydzielają sok, mający własności upajające. Pszczoły, a zwłaszcza bąki, piją z nich dotąd, aż odurzone spadają na ziemię i budzą się dopiero po kilku godzinach zesztywniałe i oszołomione.

Muchy — jak wiadomo — są skończonymi pijakami i wypijają bezwstydnie wszystkie napoje wyskokowe.

Ale pierwsze miejsce między zwierzętami trzyma słoń. Wtedy tylko nie upija się, gdy niema dostępu do trunków. Jeżeli zaś pić zacznie, niesłychanie trudno odzwyczaić go od tego. Raz w cyrku choremu słoniowi dawano jako lekarstwo alkoholowe napoje, gdy zaprzestano mu je dawać, wpadał w taką wściekłość, że dla uspokojenia trzeba było pozwolić upić się mu na nowo. Pijaństwo przeszło u niego w nieuleczalny nałóg.

Księża wynalazcy.

Rozmaici zaślepieni politykierzy wymyślają, co mogą przed ludem naszym na duchowieństwo katolickie, chcąc je w oczach wiernych poniżyć, gdyż to najłatwiej prowadzi do wyrugowania wiary z serc ludzkich. W odpowiedzi na te ataki warto przytoczyć, czego dokonali księża i zakonnicy dla społeczeństwa. A więc proch wynalazł zakonnik, Franciszkanin z Fryburga Barthold Schwarz, młyn wodny kapłan św. Ursus. Pierwsze okulary sporządził Dominikanin Aleksander ze Spiny w XIII wieku.

Mnich benedyktyński, Błażej Valentini, zastosował po raz pierwszy chemję do leczenia chorób. Szkło powiększające i lornetkę wynalazł największy fizyk i chemik średniowiecza, Franciszkanin Roger Bakon. A jeszcze pół wieku przed Farenheitem (1642) ksiądz Bonillan posiadał rtęciowy termometr.

Pierwszym po Arystotelesie, co opracował zoologję, mineralogję i botanikę, i pierwszym, który zbudował cieplarnię i wynalazł cynk i arszenik, był Dominikanin, Albert Wielki. Światło gazowe wynaleźli Jezuici. Jezuita Dunn założył w 1815 r. pierwsze towarzystwo gazowe w Preston.

Jeszcze przed Franklinem uczył o elektryczności, znajdującej się w chmurach grzmotowych djakon Nollet z Francji; a pierwszy piorunochron sporządził premostrateński Prokop Diwisch z Mähren.

Pierwszy barometr stworzył Jezuita Angedo Lecchi, jeden z największych astronomów naszych czasów. Rower wynalazł ksiądz Pianton (1845). Pierwszą narkozę, oszczędzającą ludzkości tyle cierpień wynalazł O. Celestyn Opitz, prowincjał Bonifratrów w Anglji (6 lutego 1847 r.). Środek, by ślpych nauczyć czytać, wymyślił O. Lana Jezuita.

Za Ludwika VII. już skonstruował pierwszą maszynę parową opat Luger ze St. Denis. Pierwszą mapę opracował mnich z ostrego zakonu Kamedułów, Mauro (um. 1459). Pierwsze organy zbudował mnich Budos z Celly. Pierwszy mikroskop pochodzi od O. Magnana; a pierwszy balon powietrzny od O. Desforges (1772); pierwszą sikawkę pożarną stworzyli zakonnicy Cystersi.

Wielki nasz rodak i astronom, Mikołaj Kopernik był księdzem.

Pierwszą gazetę wydał św. Wincenty a Paulo i św. Franciszek Salezy (1576—1660).

Te i tyle innych wynalazków, które zapewniły zewnętrzny postęp w rozwoju ekonomistycznym, wynaleźli księża i zakonnicy.

Puls u zwierząt.

Pewien uczony niemiecki, postanowił obliczyć, ile uderzeń na minutę wynosi puls u zwierząt ssących. Doświadczenia dały sensacyjne wyniki. Przedewszystkiem okazało się, że im zwierzę jest większe, tem puls bije mu wolniej. I tak u słonia puls wynosi 30 uderzeń na minutę, u konia około 40, u człowieka 70, u psa 90, u królika wreszcie około 200. Obliczyć puls szybszy od 500 uderzeń na min. sprawia już duże trudności. Aby dokonać pomiarów pulsu u myszy, uczony musiał zbudować specjalny aparat, któryby na

elektrometrze notował udzerzenia. Wyniki pomiarów były zdumiewające: Uderzenie pulsu u myszy obliczone zostało od 520 do 780 uderzeń na minutę, przeciętnie na 700 uderzeń. Wynika z tego, że puls myszy bije 10 razy szybciej niż puls człowieka.

Gdzie mieszka najwięcej żydów?

Statystyczne dane o rozmieszczeniu ludności żydowskiej na świecie wykazują, że procentowo, w stosunku do liczby ludności, najwięcej żydów mieszka na Litwie. Na stu mieszkańców Litwy, przypada jedenastu żydów. Na drugiem miejscu jest Polska z 7.8°/₀. Następnie idą kraje takie, jak Węgry, Rumunja, Łotwa, Austrja, Rosja i Turcja europejska.

100 tysięcy par butów dziennie.

Najwybitniejszy fabrykant obuwia w Europie, a może i w całym świecie, Bata, w Czechosłowacji, wyrabia nietylko największą ilość obuwia, bo prawie 100.000 par dziennie, ale równocześnie i największą ilość gatunków, bo przeszło 350.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Wł. Szwabowicz** w K.: Najlepiej „Rolę“ zaprenumerować. Programy radjowe zajęłyby zbyt dużo miejsca. — **Józef Kapuściński** w L.: O ile rozwiązanie nadejdzie na czas, zawsze zamieszczamy. Czy listy zaginęły, czy przyszły zapóźno, dziś trudno nam sprawdzić. — **Piotr Wenc** w Ś.: Proza leży w tece redakcyjnej i czeka na swą kolej. — **S. Wachtel** w T.: Skorzystamy. — **Maryśka z Kamionki:** Książki oddaliśmy. Za pozdrowienia dziękujemy i wzajemnie serdecznie pozdrawiamy. — **Wł. Gucwa** w K.: Za zednanego prenumeratora dziękujemy, co do drugiego odpowiemy w następnym numerze.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 19 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·90 zł.	Jałownik	od 1·13 do 1·95 zł.
Woły . .	od 1·22 do 1·78 zł.	Cielęta .	od 1·18 do 1·92 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·81 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·75 do 2·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·30 do 3·10.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Józef Działowy dla Maćka 50 groszy, Adolf Liebeskind z Krakowa dla Maćka 50 groszy.

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



3. Szarady.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I.

Drugie trzecie mamy w naszym kraju,
Czechosłowacy i Węgrzy doń przystępu
[nie mają,
Za to Włochom pierwsza przez kraj płynie,
Całość polska prowincja w północnej stronie

II.

Pierwsze drugie w Tatrach,
Na wielkich stoją wiatrach,
Trzecie wspak — to już wiecie,
Że z was każdy trzecie.
W puszczy pierwszy żyje;
Lada kto go tu drugie zabije.
Rycerze w Polsce dawnej,
Całość urządzali.

III.

Nie kosztuje dużo cała
A jednak „Rola“ jest wspaniała,
Zamów, a otrzymasz zaraz
Zaległe drugie trzecie czwarte naraz.
Czwartą piątą; spłać powoli —
Taka jest druga piąta o „Roli“.

IV.

Bolek! Mówię ci trzecie,
Że pierwsza i druga nie cała stoi w kącie,
Drugie po wodę, bo ją potrzebuję.
Pół pierwszego i drugi, jak konia okuje,
To przyjdzie na obiad. A całość z ogrodu
Po drodze mi przyniesiesz, jak pójdziesz
[po wodę.

3. Kwadraty magiczne.

(Ułożył „Yoga“).

× × × × Bogini grecka.
× × × × Nazwa gazety.
× × × × Wyspa na morzu Śródz.
× × × × Neutralny kraj w Niemczech

× × × × Córka Demetry.
× × × × Roślina.
× × × × Rzeka we Włoszech.
× × × × Drobina.

4. Łamagłówka literowa.

(Ułożył Franciszek Śmigielski).

G—z—e n—e—a k—r— t—m n—e—a m—a—y.

Zamiast kresek wstawić litery tak, aby otrzymać przysłowie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 7 lipca b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 25 „Roli“: 1. Łamigłówka: Ludwik St. Unsing. 2. Zagadka: Litera „a“. 3. Szarady: Kraszewski, kulawa, nici. 4. Układanki: Kotara, popas, pastor, Kutrzeba, Panama, Ceramika. 5. Bilety wizytowe: Konarzewski, Wróblewski, Sikorski, Żeligowski, Rozwadowski, Skierski, Małachowski.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: J. Zajączkowski z S., Adolf Liebeskind z K., Piotr Wenc z Ś., Jan Nalepa z J., Wł. Szwabowicz z K., Józef Kapuściński z L. (wierszem) i Marylka Kalafarska z K.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Nalepa z J. i A. Liebeskind z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Prosimy o rychłe odnowienie prenumeraty.

Racja.

Pewien pan wyznania luterskiego, chcąc nakłonić swych katolickich poddanych do przyjęcia wiary luterskiej, obiecał im dać po 10 morgów pola, jeżeli to uczynią. Na to jeden mądry chłop tak się odezwał: „Kto chce ze mną pomieniać się na konie i do mego mi dopłaca, to wiem, że mój koń lepszy niż jego. Tak i nasza wiara lepszą być musi, kiedy pan chce nam dopłacać, abyśmy ją zamienili na waszą“.



Dowcipna.

— Czy wrzuciłaś list do skrzynki?

— Naturalnie, proszę pani.

— Więc dlaczego przynosisz z powrotem pieniądze, które dałam ci zakupienie znaczków pocztowych?

— Bo wrzuciłam tak list do skrzynki, proszę pani, że nikt tego nie zauważył.

Zdrowa rada.

Bankier: Jak pan śmiesz oświadczać się z miłością dla mojej córki, nie mając żadnego stanowiska?

Artysta: Sympatja pańskiej córki ośmiela mnie do tego... mam widoki...

Bankier: Co?... widoki? To panu potrzebna lornetka, a nie żona.



Ostrożny.

— A niech wujaszek pociągnie tego pieska za ogon, dobrze?

— Dlaczego?

— Bo chcę zobaczyć, czy gryzie.



Wzajemna usługa.

Kumie! chodźcie pomóżcie nam wywłóczyć zdechłego konia, jak wam kiedy zdechnie, wtedy jo wom pomogę.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 19 czerwca b. r.

Pszenica .	55·00—56·50	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto .	52·00—53·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	47·00—48·00	Koniczyna nasienn. czer.	310·00—315·00
Jęczmień .	45·00—46·00		
Łubin żółty	28·00—29·00	Otręby żytnie	30·00—30·50
Fasola biała	58·00—62·00	Mąka żytnia	74·00—75·00
Groch zwyk.	59·00—63·00	Mąka pszen.	83·00—84·00
Siano słodk.	24·00—26·00	Otręby pszen.	29·50—30·00
Koniczpastew.	00·00—00·00	Mąka czerw.	36·00—38·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

WOJCIECH BYCZEK.

Echa wiejskie

Poezje.

Młody poeta ludowy, mający za sobą piękną już twórczość i dorobek poetycki, wydał pod powyższym tytułem zbiór swoich najcelniejszych utworów.

Te „Echa wiejskie“ powinny znaleść się w każdym domu na wsi, bo są to pieśni jej syna, zrodzone dla Braci od pługa. Cena dla Czytelników „Roli“ 1.50 zł. za egzemplarz. Dla innych 2 zł. Do ceny dolicza się porto pocztowe. Zamówienia przyjmuje Biuro Małopolskiego Związku Młodzieży — Kraków, Plac Szczepański L. 8, III. p.

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406 301 Kraków.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr... nie otrzymałem i swój adres.